



# Głos ANGLII



★ TYGODNIOWY PRZEGLĄD SPRAW BRYTYJSKICH ★

Rok III

Kraków, 25 grudnia 1948

Nr. 52 (113)

REDAKCJA GŁOSU ANGLII  
ŻYCZY WSZYSTKIM CZYTELNIKOM  
WESOŁYCH ŚWIĄT!



# POGLĄDY PRASY BRYTYJSKIEJ

## INDIE I PAKISTAN

**DAILY TELEGRAPH** zauważa, iż Indie i Pakistan czynią zdecydowane wysiłki, by dojść do porozumienia w sprawach gospodarczych oraz usunąć inne przykre bolączki, powstałe wskutek „podziału kraju, który był przedtem administrowany jako całość”.

Oficjalne oświadczenie, ogłoszone w dniu zakończenia dziesięciodniowej konferencji w Delhi, stwierdza, że „osiągnięto daleko idące porozumienie”, nie wyszczególniając jednak, jakie sprawy zostały załatwione. Styczeń powinien przynieść dalsze postępy, kiedy konferencja podejmie na nowo swe obrady w Karachi.

Należy radośnie powitać wszelkie objawy rodzącego się ducha pojednania po straszliwych przejściach, jakich doświadczyły oba narody. Głównym celem tych rozmów jest znalezienie realnego planu, który przywróciłby warunki życia ludności do poprzedniego stanu, oraz zniesienie barier celnych i ograniczenie rozporządzeń kontrolnych, które hamują dostawę surowców do okręgów przemysłowych — uniemożliwiając tym samym głodującej ludności utrzymanie nadwyżki artykułów żywnościowych z innych prowincji.

Wysłuch ten sam w sobie jest dowodem, iż zdano sobie sprawę, że rozdziewki wyznaniowe, które doprowadziły do rozdziału, nie narażają ustych żołądków, ani nie uruchamiają fabryk. Pakistan produkuje więcej żywności, niż jest w stanie skonsumować, zaś produkcja Indii jest niewystarczająca. W Pakistanie uprawia się na wielką skalę bawełnę i jute, która zasila dwie główne gałęzie przemysłu w Indiach; przemysł Pakistanu jest natomiast mało rozwinięty.

Zdrowy rozsądek dyktuje, że bariery polityczne nie powinny powodować rozdziału gospodarczego, wplywałoby ujawnienie na dobrobyt obu krajów.

Oba te kraje mają przed sobą aż nadto problemów do rozwiązania, aby rozmyślnie stwarzać sobie nowe trudności. Jednego z problemów, a mianowicie masowych wędrowek ludności hinduskiej ze wschodniej części Bengal, nie wymieniono w oświadczeniu w oficjalnym sprawozdaniu z konferencji. Ucieczka ta, spowodowana częściowo przyczynami gospodarczymi, a częściowo masową psychozą, utrudnia zadanie obu rządów, ponieważ zalewa Indie ludnością, dla której nie ma tu ani pracy, ani żywności, a Pakistan pozbawia koniecznej siły roboczej. Jedynym czynnikiem, który może wstrzymać te wędrowki, jest udowodnienie ludności, że każdy człowiek może żyć i pracować w każdej części półwyspu, iako zupełnie równy swoim sąsiadom i wolny od wszelkich obaw.

Główne problemy polityczne nie zostały poruszone przez delegatów konferencji w Delhi, tym niemniej, bada one nadal komplikować wzajemne stosunki obu rządów. Postawieniem, że Narody Zjednoczone nie umiały znaleźć zadawalającego rozwiązania problemu kaszmirskiego, pismo nawołuje, by obie strony wykażały bardziej pojednawczą ducha. Iaki odzwiałał je przy załatwianiu spraw mniej spornych w czasie rozmów w stolicy Indii.

## ROZDZIEWEK W IDZE ARABSKIEJ

**TIMES** omawiając zmieniające się stosunki między Transjordanią a Ligą Arabską wyraża przypuszczenia, że ostatnie ataki prasy arabskiej odzwierciedlają niepokój Ligi na temat możliwości porozumienia się króla Abdullaha z rządem Izraela. Krok taki był naturalnym następstwem sugestii hr. Bernadotte'a że Arabowie palestyńscy winni dążyć do zjednoczenia z Transjordanią. Gdyby do tego doszło, przyjazne stosunki zanapowałyby wkrótce między Izraelem a Transjordanią, a najpierwszą konsekwencją byłoby uznanie Izraela przez Abdullaha. Wzbyło poważny cios dla chwicznej jedności Ligi Arabskiej, która wobec narodowych i dynastycznych sporów trzyma się tylko wspólną nie-

chęcią do uznania jakiegokolwiek podziału Palestyny.

Przypomniałszy pokrótce zmiany, jakie zaszły po wojnie w sytuacji państw arabskich, **Times** zauważa, że z chwilą gdy sprawa Palestyny ściągnęła na siebie uwagę Narodów Zjednoczonych, państwa Ligi — w nieoczekiwanym sojuszu z poplecznikami Izraela — uzyskały wycofanie wszelkich wzmianek o raporcie Bernadotte'a z rezolucji brytyjskiej, przyjętej ostatecznie przez Zgromadzenie. Było to wielką pomysłką państw arabskich, bowiem poświęciły one poważne korzyści, które W. Brytania starała się im zapewnić, a z drugiej strony nie przeszkodziły Zgromadzeniu w wydaniu Kom'jsji Rozjemczej Trzech Mc-carstw instrukcji podjęcia dalszych usiłowań doprowadzenia do negocjacji pokojowych między Izraelem a jego arabskimi sąsiadami.

Decyzja paryska zostanie zapewne przychylnie powitana przez Abdullaha. Nakazał on już swym dowódcą zawarcie w Jerozolimie rozejmu, który przestrzegany jest pilnie przez obie strony. Irak poszedł za jego przykładem, zawierając lokalny rozejm na froncie środkowym.

Tymczasem w Jerycho odbyło się zebranie woliwowych osobistości spośród Arabów palestyńskich, które postanowiły ofiarować Abdullahowi koronę arabskiej Palestyny. Gabinet króla Transjordanii doradził mu przyjęcie jej pod warunkiem, że unia Transjordanii i Palestyny arabskiej przeprowadzona zostanie konstytucyjnie i na zasadach samostanowienia, oraz że obie Izby transjordańskiego parlamentu zatwierdzą radę gabinetu.

Niemiełe zaskoczona rozwojem wy-

padków Ligi Arabska oskarża obecnie W. Brytanię o zakulisowe wyreżyserowanie tej sytuacji. Oskarżenie zdaniem **Timesa** pozbawione jest wszelkich podstaw. Król Abdullah działał z zupełną swobodą i nie ma powodu przypuszczać, że zmieni swe postępowanie pod wpływem fałszywej interpretacji jego pobudek względnie krytyki jego przyjaznych uczuć dla W. Brytanii.

## OBYWATEL ŚWIATA

**MANCHESTER GUARDIAN** pisze: Pan Garry Davis, lotnik amerykański, który w maju br. zrzekł się swej narodowości i ogłosił się obywatelem świata, a w listopadzie potrafił spowodować 25 minutową przerwę w obradach Zgromadzenia O. N. Z. jest człowiekiem, z którym należy się liczyć. Niedawno w Paryżu tłum złożony z 4.500 osób stał na deszczu, by usłyszeć jego przemówienie, w którym nawoływał do „pokoju, jaki tylko rząd świata może zapewnić”. Jego ukazanie się na mównicy, jak stwierdza powściągliwy „**Monde**”, zostało powitane z niezwykłym entuzjazmem. Dr. Einstein przysłał oświadczenie, w którym popiera jego stanowisko; dr. Evatt miał podobno przesłać delegatom O. N. Z. propozycje Davis'a. (Nie wiadomo dokładnie jakiego rodzaju były te propozycje; deklaracja, którą Davis starał się w listopadzie zainteresować Zgromadzenie O. N. Z. nawoływała do „matymistawego zwolania światowego zgromadzenia konetytuan, które podniesie sztandar, wokół którego wszyscy ludzie będą mogli się zgromadzić, a będzie to sztandar jednego, suwerennego rządu dla jednego świata”). Pewna liczba znanych intelektualistów francuskich utworzyła wokół Davis'a „radę soli-

## Od Redakcji

Redaktor i Zespół Redakcyjny „Głosu Anglii” zasyła wszystkim Czytelnikom najlepsze życzenia Wesołych Świąt i Nowego Roku.

Szczególnie w tym okresie zdajemy sobie sprawę, jak bardzo łączą narody polski i brytyjski wspólne dla nich obu radosne święta Bożego Narodzenia, przemawiające do serc swą ideą „pokoju na ziemi ludzom dobrej woli”.

W tych częściach świata, gdzie obchodzi się Boże Narodzenie — święto to jest wielką doroczną uroczystością religijną, a także wielką uroczystością rodzinną.

W roku bieżącym rodzinny charakter świąt Bożego Narodzenia został w W. Brytanii odczuty mocniej niż zazwyczaj dzięki ceremonii chrzcina małego księcia Karola — drugiego następcy tronu brytyjskiego syna księżniczki Elżbety.

Szczytowym punktem uroczystości świątecznych w W. Brytanii i Brytyjskiej Wspólnocie Narodów jest przemówienie króla, nadawane corocznie przez radio na cały świat. Król, chociaż chory tego roku — bierze udział w święcie swej własnej rodziny i wygłosi przemówienie jako głowa wielkiej rodziny narodów brytyjskich, znajdujących się w różnych częściach świata. Narody te są zresztą tylko częścią wielkiej rodziny narodów całego świata.

Boże Narodzenie to wielkie święto, dla którego nie ma granic państwowych, ani różnic klasowych czy rasowych. Gwiazda betleemska, która wiodła magów do stajenki, świeci nadal, mimo różnych wątpliwości i niesnasek, panujących w świecie. Jest ona symbolem dobrej woli i pokoju dla narodów tej ziemi. Zgodnie z atmosferą i ideą świąt Bożego Narodzenia pozdrawiamy naszych Czytelników oraz z ufnością i nadzieją oczekujemy Nowego Roku.

„darmość”. Znamienną oznaką naszych czasów wydał im się fakt, że człowiek, który nawołuje do pokoju, został wyrzucony z pałacu Chaillet i zatrzymany przez policję. Z pewnością prawdą jest, że pan Davis jest wyraziście uczuć milionów ludzi, uznających głęboką potrzebę obalenia muru beznadziejności i rozczarowań, jakie wniosły wydarzenia lat powojennych. Może również prawdą jest twierdzenie Alberta Camusa, który powiedział, że „historia jest utopią, która kończy się z chwilą, gdy staje się ciążem i krwią”. Lecz między ludami pertraktacje i wojny są, jak dotąd jedynymi sposobami umożliwienia tego procesu. Polloja z pałacu Chaillet może ostatecznie miała swoje racje.

## KRÓLEWSKI WÓZEK

**TIMES** pod tytułem „Wózek dziecinny małego księcia” pisze: Mały książę zapoznał się po raz pierwszy z ogrodami Buckingham Palace, po których odbył przejażdżkę w swym wózku. Nikogo dziś nie dziwi, że książę używa tego sposobu lokomocji, albo faktem jest, że tego rodzaju wehikuł dziecinny wszedł w użycie stosunkowo bardzo niedawno, gdyż angielska jego nazwa „perambulator” została po raz pierwszy zastosowana dopiero w r. 1857 przez powieściopisarkę Charlotte Yonge.

Niemowłotom powodzi się obecnie bez porównania lepiej niż dawniej. Od niepamiętnych czasów panował zwyczaj wynoszenia ich na powietrze w ramionach, albo na plecach matki czy opiekunki, szczerbie obwijanych szalami czy innymi tego rodzaju okryciami. Jest to oczywiście do dz. dnia jedyna metoda znana bardzo wielu dzieciom. Wywiał, który w XIV w. przetłómaczył Pismo św. na język angielski, wspomina wprawdzie tajemniczo o jakichś „waynes” (wózkach), których używano do przewożenia małych dzieci, ale było to na pewno narzędziem tortury dla ówczesnych niemowlat, które, gdyby się mogły były wypowiedzieć na ten temat, byłyby może prosiły, by noszono je raczej na rękach.

Muzeum naukowe w South Kensington posiada kilka typów najstarszych wózków dziecinnych, ale z braku miejsca nie są one obecnie wystawione. Mimo to muzeum chętnie powiększy ilość swych eksponatów tego typu. Jeden z tych wózków, pochodzący z r. 1820, wygląda jak miniaturowy wóz drabinasty, gdyż bok jego zrobione są z prętów osadzonych w odstępach kilku centymetrów. Osie i koła tego wózka są również podobne do zwykłego wozu; nie posiada on wcale resorów a cały ten klekot posuwano podobnie jak wózek bagażowy na nowoczesnych dworcach kolejowych. Wózek dziecinny z roku 1845 wydaje się nieco wygodniejszy, ma niską karoserię, wyszczelnioną jest skórą, a bok ma plecione. Ciągnięto się go od przodu za pomocą długiego, drewnianego dyszla. Około tego roku pojawiają się pierwsze królewskie wózki dziecinne: pchane z tyłu, posiadają trzy drewniane koła (są trochę podobne do taczek), mają prymitywne resory i są zaopatrzone w filuterne parasole z długimi frendzlami. Królowa Wiktoria kupiła trzy takie wehikuły dla swoich dzieci i zapłaciła po cztery gwinee za każdy.

Lekkie koła o drucianych szprychach i gumowych obręczach zastosowano do wózków dziecinnych po raz pierwszy w r. 1875 i od tej pory postęp w tej dziedzinie dotrzymuje kroku rozwojowi większych pojazdów. Wózek dziecinny w dawnym znaczeniu tego słowa jest dziś właściwie pojemem przestarzałym, ale ten, w którym jeździ mały książę, jest chyba królem między tego rodzaju sprzętami, gdyż miał zaszczyt przewozić mniej więcej dwadzieścia lat temu matkę tego pierwszego w kraju niemowlęcia i powinien być koniecznie przechowany dla potomności.

S. GORDON COLLIER

## Opieka nad dzieckiem

Jeżeli spełni się przypuszczenie, że W. Brytania będzie za dziesięć lat posiadała młodzież zdrowszą pod względem fizycznym i lepiej rozwiniętą intelektualnie od młodzieży innych krajów europejskich, będzie to w części niewątpliwie zasługą komitetu, który właśnie został utworzony w celu służenia radą ministrowi spraw wewnętrznych w dziedzinie opieki nad dziećmi.

Przypuszczenie, o którym wspomnieliśmy wyżej, wyraził ostatnio zasłużony biolog francuski prof. Henri Bonnet — członek Francuskiej Akademii Lekarskiej i dyrektor Francuskiego Czerwonego Krzyża.

Odwiedził on W. Brytanię wraz z pediatrami i wychowawcami z 12 krajów, działając z ramienia Międzynarodowego Funduszu Opieki nad Dzieckiem. W ramach swej wizyty zbadał tysiące dzieci w wieku do lat 15, oraz przestudiował statystyki tysięcy innych dzieci. Dyskutował też w sprawie opieki nad dzieckiem z czołowym ekspertem brytyjskim — Alanem Moncrieffem — profesorem katedry zdrowia dzieci na uniwersytecie londyńskim.

Właśnie profesor Moncrieff został obecnie mianowany przewodniczącym Rady Opieki nad Dzieckiem, utworzonej niedawno na mocy ustawy o opiece nad dzieckiem, która weszła w życie z dniem 5 lipca br. Rada ma pomagać rządowi w realizowaniu zasad ustawy, której przedmiotem jest sprawa opieki nad bezdomnymi dziećmi w W. Brytanii. Według ustawy tej wszystkie władze samorządowe w W. Brytanii (z małymi tylko wyjątkami) powinny utworzyć komitety opieki nad dziećmi, które zajmowałyby się dziećmi usuniętymi z domów rodzinnych na mocy wyroku sądowego, doglądałyby dzieci wziętych przez kogoś na wychowanie za zgodą rodziców, oraz nadzorowały stowarzyszenia opieki nad dziećmi itp.

Rada będzie tym w skali ogólnonarodowej, czym komitety dla poszczególnych społeczności miejscowych. Oprócz prezesa, prof. Moncrieffa, który spędzi większość swego zawodowego życia na studiach nad kwestią dziecka, badając ją czy to w słynnym szpitaliku londyńskim, czy też za granicą, w skład Rady wchodzi 4 mężczyźni i 7 kobiet. Życie tych ludzi poświęcone było w większości sprawom opieki nad dzieckiem.

Reprezentują oni szereg ochotni-

cznych organizacji o sławie międzynarodowej takich, jak np. Zakłady dr. Barnardo dla sierot i Narodowe Stowarzyszenie do Walki z Okrucieństwem wobec Dzieci, oraz takie instytucje, jak zakłady poprawcze, sądy dla nieletnich, samorzady itp. Podobny, składający się z ekspertów komitet został utworzony dla Szkocji w marcu br. Celem jego jest udzielanie porad w sprawie opieki nad dziećmi wyrzuconymi poza nawias normalnego życia.

Wiele władz samorządowych w W. Brytanii mianowało już specjalnych urzędników, których zadaniem jest roztaczanie opieki nad dziećmi w ramach ustalonych przez ustawę. Ta bardzo humanitarna ustawa zaleca przede wszystkim stworzenie jak najnormalniejszych warunków życia domowego sierotom oraz dzieciom, których rodzice nie są w stanie wychowywać sami. Cały rozdział ustawy poświęcony jest sposobom jak najlepszemu kształcenia charakteru i zdolności takich dzieci oraz obronie ich interesów.

Ustawa kładzie nacisk na panujące w W. Brytanii przekonanie, że rodzina jest podstawową komórką społeczeństwa, dlatego też bezdomne dzieci powinny być oddawane pod opiekę miejscowych rodzin, jeżeli jest to tylko możliwe. Tam, gdzie to jest niemożliwe, należy umieszczać dzieci w różnych zakładach i domach wychowawczych. W Zjednoczonym Królestwie istnieje przecież przeszło 1000 takich domów, należących do organizacji ochotniczych, a władze samorządowe są w dodatku uboższe do organizowania państwowych domów wychowawczych.

Państwo będzie też pilnować, aby żadnemu z ubogich dzieci nie brakowało któregoś z tych rzeczy, często tak ważnych dla dziecka — jak np. ubranka szkolnego, piórnik, równie dobrych, jak te, które mają ich bogatsi koleżki.

Gdy ustawa została uchwalona ostatecznie przez Izbę Gm'n w końcu czerwca, niejaki P. K. Lindsay — bezpartyjny nosiel, rezydentury połączone uniwersytety angielskie, roznomadził dyskusje na jej temat. Wkrótce ustawa stała się przedmiotem dyskusji w całym kraju. P. Lindsay dowodził, że najbliższym zadaniem jest wydanie zarządzeń zmierzających do przywrócenia szczęścia tym dzieciom, które czują się bardzo nieszczęśliwe, lub są zaniedbane w swych domach, mimo iż znajdują się pod opieką rodziców.

Przewodniczący Narodowego Stowarzyszenia do Walki z Okrucieństwem wobec Dzieci oświadczył w liście otwartym do londyńskiego „**Timesa**”, że 40.000 dobrowolnych członków stowarzyszenia pomaga co roku przeszło 100.000 dzieci w przeszło 40.000 rodzin. Potrzeby tych dzieci nie zostały uwzględnione w ramach ustawy o opiece nad dzieckiem.

W dalszym ciągu listu czytamy, że roztaczając opiekę nad 125 tys. dziećmi pozbawionych domów rodzinnych, ustawa nie załatwia w ogóle kwestii tych dzieci, które wprawdzie żyją z rodzicami, ale są zaniedbywane przez nich, lub źle traktowane. Opieką nad tymi dziećmi zajmowały się dotychczas różne ochotnicze stowarzyszenia charytatywne w W. Brytanii. Ostatnie jednak badania przeprowadzone nad celami opieki publicznej przez grupę kobiet wykazały, że sprawami z tego traktowanymi dzieci w rodzinach powinny zająć się lokalne władze samorządowe.

Niektóre z tych władz podjęły się już tej pracy. Tak na przykład kom'jsja zdrowia przy radzie miejskiej Norwiche utworzyła już 5 lat temu podkom'jsję i mianowała tzw. „doradcę domowego” dla załatwiania spraw dzieci zaniedbanych. Obowiązki jej polegają na zdobyciu sobie zaufania matek i ojców, w których domach panuje depresja na skutek błędów czy też choroby. Dzieci temu zaufaniu podkom'jsja może doradzać rodzicom, w jaki sposób należy rozjaśnić atmosferę domu, pomagać w układaniu budżetu domowego, udzielać pomocy w porządkach domowych czy też kąpieli dzieci, słowem stać się przyjacielem w potrzebie dla tych, których określa się w podręcznikach jako „rodziny trudne”.

Rada miejska posunęła się nawet jeszcze dalej w tej dziedzinie. Omawia obecnie sprawę mianowania jeszcze jednego „doradcę domowego”, który odwiedzałby rodzinę, nie potrzebując jeszcze gwałtownej pomocy i swymi radami zanabierałby wytworzeniu się warunków prowadzących w konsekwencji do zaniedbania dzieci.

Władze samorządowe jednakże — jak zresztą i rada miejska Norwiche twierdzą, iż potrzeba im szerszego uprawnień (uprawnień tych miałby udzielić im Parlament), aby mogły skutecznie załatwiać sprawy opieki nad zaniedbanymi dziećmi.

# W dzień Bożego Narodzenia



Jakże cieszyć się będzie ta mała dziewczynka, gdy obudzi się rano. Tyle prezentów przyniósł jej „dziadek gwiazdkowy”.



„Dziadek gwiazdkowy” w rozmowie z dziećmi.



Najmilsze czynności przedświąteczne: strojenie choinki zabawkami.



Na prawo u góry: na ulicach i placach Londynu błyszczą różnokolorowymi światłami piękne choinki, ku uciechu dorosłych i dzieci.

Na lewo: choinka to główny symbol Bożego Narodzenia. Wycięte w lesie drzewa wędrują na rynki miast, — gdzie w okresie świąt znajdują chętnych nabywców.

Na prawo: Do tradycji brytyjskich należą pantomimy urządzone z okazji świąt Bożego Narodzenia. Oto fragment takiego przedstawienia.



Studentki szkoły pielęgniarskiej w Middle Hospital śpiewała koledy.



A oto tradycyjna świąteczna „szklanka piwa” w gospodzie wiejskiej.

# KOLEDA STAROANGIELSKA

Nikogo nie wpuście do sieni,  
Choćby był paź, czy marszałek,  
Jak nie będzie rad z innymi;  
Bo dziś jest Boże Narodzenie!



Jak się śpiewać nie ośmieli,  
Niech inną radość przyniesie,  
Ano by was rozweselił;  
Bo dziś jest Boże Narodzenie!

A jak powie, że nie umie,  
To go do sieni nie proście,  
A niech kat go w ręce ujmie;  
Bo dziś jest Boże Narodzenie!



## SZEKSPIER o Bożym Narodzeniu

Nie pragnę róży w Narodzenie Boże,  
Ani chcę majów powleczonych lodem.  
Ja lubię każdą rzecz o swojej porze.

(Tłum. E. Porębowicz — Stracone zachody miłosne. Akt I. scena I.)

Mówią, że ranny ptak, kur, w owej porze  
Kiedy święcimy Narodzenie Pana  
Po całych nocach zwykł śpiewać i wtedy  
Żaden duch nie śmie wyjść z swego siedliska:  
Noce są zdrowe, gwiazdy nieszkodliwe,  
Złe śpi, ustają czarodziejskie wpływy,  
Tak święty jest ten czas i dobroczynny.

(Tłum. J. Paszkowski — Hamlet. Akt I. scena I.)





**S**TOJĄC w motorówce, która wolno torowała sobie drogę we mgle wzdłuż odludnych brzegów Szkocji, troje dzieci patrzyło przed siebie z niepokojem.

— Jesteśmy odrobinę za blisko brzegu, moim zdaniem — mruknął najstarszy z trójki, Angus, trzymając rękę na serce. — Może będzie wam trochę cieplej teraz, kiedy zmieniłem kurs. W każdym razie to nie będzie już długo trwało. Zrywa się wiatr. Zaraz rozpędzi mgłę. — Spojrzył na zegarek. — Za dziesięć dziesiąt: zdążymy jeszcze w porę na zabawę taneczną.

Istotnie, po prawej stronie łodzi, w odległości 60 metrów, wylądował się poprzez gęstą mgłę niewyraźny zarys łądu. Christina wskazując w tym kierunku, zawołała nagle:

— Tam jest molo, skręcaj na prawo, kapitanie.

— Ona ma rację — potwierdził Alasdair. — To jest molo Gęsiej Szyi, wicie, tego małego półwyspu, który wybiega z łądu przy Inverdubh. Jego właścicielem jest ten grubas, Volkington. Mówią, że straszny drań z niego. Przepędza tatusia i innych rybaków...

— Gwiżdżę choćby na tuzin Volkingtonów — odpalił Angus. — Zatrzymaj łódź tutaj, dopóki się mgła nie podniesie — i przekreślony ster, skierował warkoczącą motorówkę ostrożnie w stronę małego mola.

Zwinnie wyskoczyli z łodzi i uwiązali linę do kołka, wystającego z pomazanych smołą desek.

— Hej — zawołał Alasdair, zaglądając na drugą stronę mola. — Tu jest druga łódź motorowa. Załóż się, że nie jest tak szybka, jak nasza „Mewa”.

Drżąc z zimna w ostrym powietrzu grudniowym, dzieci lustrowały mroczne otoczenie.

— Tam stoi jakiś dom na wzgórzu — dodał Angus. — Mający poprzez mgłę tam, gdzie się ona przyczepa. Trzymajmy się lepiej zdala od niego. Ale chodźmy obejrzeć tę szopę na przystani.

Szopa była milczącym budynkiem o złowrogim wyglądzie, z którego zalatywał zapach teru i smoly. Wewnątrz znajdowały się sieci rybackie, stare puszkki od konserw, płótno żaglowe i zwoje lin, a w głębi leżała przewrócona łódź, przygotowana do uszczelnienia.

— Nic nadzwyczajnego — rzekł Angus, dla którego połów ryb był codziennym zajęciem. — Nie bardzo dbają o swoje sieci, patrzeć jak gniją. Śledź mógłby przejść przez nie z łatwością.

Zamierzali odejść, gdy wtem zatrzymali się przerażeni, usłyszawszy słaby jęk, dochodzący z jakiegoś ciemnego kąta szopy.

— Słyszeliście? — wyszeptał Angus, patrząc na swych towarzyszy szeroko otwartymi oczami.

— Tak, to odezwało się z łodzi — odparł Alasdair. Zawrócili i z trudnością podnieśli jeden bok ciężkiego czołna.

— Tu jest człowiek — zawołał Alasdair. — Trzymajcie łódź, a ja go wyciągnę.

Naprzężając wszystkie mięśnie,

Angus i Christina podtrzymywali łódź, dopóki brat ich nie wyciągnął spod niej mężczyzny, którego blada twarz splamiona była zakrzepłą krwią z głębokiej rany na skroni.

— Ależ — zawołał Angus — to jest Andrew Macleod, strażnik wybrzeża z Guzanec... — Przez chwilę gapili się na siebie w pełnym zgrozy zdumieniu. Wreszcie odezwał się Angus. — Musimy mu pomóc. Ty pójdziesz ze mną do tego domu, Christina. Ty Alasdair zostań z rannym, daj mu trochę wody i postaraj się przywrócić go do przytomności.

ALAN C. JENKINS

## PRZYGODA W WIECZÓR SYLWESTROWY

Kiedy brat z siostrą odeszli w stronę domu, Alasdair przyniósł z motorówki butlę z wodą i dał się napić ramnemu. Minuty mijały... Pragnął, by Angus i Christina już wrócili. Co, u licha mogło ich zatrzymać tak długo? Czuł się nieswojo w mrocznej szopie i postanowił pójść poszukać rodzeństwa. Ułożywszy strażnika możliwie najwygodniej, poszedł ścieżką w górę...

Masywny i samotny, o grubych murach, pokrytych pęczkami bluszczu, z których małe okienka wyglądały nieprzyjemnym spojrzaniem, dom stał na niewygodnym wzgórzu. Wiatr rozpędził już okrywającą go mgłę. Nad dalekimi, ośnieżonymi górami po drugiej stronie zatoki wynurzył się czerwony, posępny księżyc.

Alasdair zbliżył się z bijącym sercem do dziwnego domu i pościął za sznurek dzwonka u drzwi wejściowych. Dzwonek zabrzmiał przejmująco w wyłożonym kamiennymi flisami hallu i zamrzał w głębokiej ciszy. Alasdair zadzwonił ponownie... dzwonek zdawał się naigrawać z niego swym hataśliwym brzęczeniem.

Coś musiało się stać... Obszedł dom wokoło, starając się zajrzeć do któregoś z okien, wszystkie jednak były dla niego za wysoko.

— Angus! Angus! — krzyczał, lecz jedyną odpowiedzią było przytłumione echo jego własnego

głosu. Zdjęty nagłym przerażeniem, pobiegł z powrotem w kierunku mola, lecz zatrzymał się niezdecydowany, nie będąc pewnym, czy w motorówce zostało dosyć benzyny, aby wrócić do Mookpier. W tej chwili wahania usłyszał nagle parskanie konia w stajni, przylegającej do szopy. O! właśnie... popędzi konno na ląd, by sprowdzić pomoc...

Spokojnie wszedł do stajni, i będąc tak samo przyzwyczajony do koni, jak i do łodzi, szybko ukołował klacz, która na widok obcego przybysza stawała się narowista. Osiodłał ją zręcznie, założył

uzdę i wyprowadził ze stajni, po czym wygramolił się na jej grzbiet i wsunął nogi w strzemiona. Scisnął piętami boki klaczy, minął dom i skulony nad jej karkiem, pognał galopem wzdłuż drogi, która prowadziła przez wąską nasadę półwyspu na ląd.

Jadąc tak, rozmyślał gorączkowo nad obraniem najlepszej drogi... czy miał skierować się do urzędu celnego w Port Kinloch, czy na policję w Strath Shinary? Dojechał do skrzyżowania dróg w Inverdubh, którego stare drogowskazki pochylały się upiornie w błądym świetle księżyca, a kiedy zatrzymał się w nagłym postanowieniu, ujrzał reflektory samochodu, nadjeżdżającego z Port Kinloch. — Dzięki Bogu — pomyślał, i wznosząc rękę, wyjechał maszyną naprzeciw.

Kiedy samochód się zbliżył, chłopiec zobaczył w nim trzech mężczyzn: cywila przy kierownicy i dwóch marynarzy, rozwalonych na siedzeniach w tyle. Tlusta, chropowata twarz wyjrzała z szoferki. Ku swemu przerażeniu Alasdair poznał w niej Volkingtona, właściciela Gęsiej Szyi.

— Cóż tam nowego? — spytał Volkington, patrząc podejrzliwie na chłopca. — Zabawa w rozbójnika? A w dodatku na moim koniu...

Alasdair opowiedział pośpiesznie swoją przygodę.

— Ładna, noworoczna bajeczka — rzekł Volkington głośno. — Bujać to my, mój chłopcze. Twoja fantazja poniosła cię zbyt daleko. O ile rzeczywiście znalazłeś tam człowieka, w co nie wierzę, to z pewnością wypił za dużo whisky i był pod dobrą datą. A twój szanowny bracišek i siostrzyczka zapewne włamali się do mojego domu w czasie mojej nieobecności, za co — przysięgam, że obłupię ich żywcem ze skóry. W każdym razie wrócisz ze mną do Gęsiej Szyi i wytłumaczysz się, co robiłeś z moim koniem.

Volkington zwrócił się do marynarzy: — Zdaje się, że tu właśnie muszę was wysadzić. Skręcam teraz. Musicie pójść tą drogą jakieś 2 kilometry. Wkrótce usłyszycie dźwięk korb ze świetlicy wiejskiej.

— W porządku, kolego — rzekli marynarze. — Dziękujemy za podwiezienie — i wygramoliwszy się z samochodu, podążyli w kierunku Inverdubh.

Alasdair patrzył za nimi ze ścisniętym sercem. Gdyby chociaż oni byli zoolali. Głupi był, że ich o to nie prosił.

— Teraz ty jedź za mną, a wkrótce wyswietlimy całą sprawę — zakomenderował Volkington, i nacisnąwszy starter, ruszył w kierunku Gęsiej Szyi.

Z przykrym uczuciem Alasdair zebrał cugle i podążył za czerwonym światłem samochodu, skręcającym w wąski przesmyk łądu, ponad którym wicher wyl z rosnącą siłą.

Podczas gdy chłopiec przywiązywał konia, Volkington wysiadł z samochodu i zadzwonił gwałtownie do drzwi frontowych, które tym razem owarły się natychmiast. Na progu ukazał się przygarbiony, trupoblady człowiek, którego chuda sylwetka odcinała się wyraźnie na tle oświetlonego hallu. A więc był tu ktoś przez cały czas.

— Słuchajno, Craik — wrzasnął Volkington, popychając Alasdaira do środka i zamykając drzwi. — Co się tu działo? W jaki sposób udało ci się temu chłopcu uciec z moim koniem?

— Obawiam się, że byliśmy w edy zajęci innymi gośćmi — odparł mizerny Craik. — Nasz „przyjaciel”, sraźnik wybrzeża nierozważnie trafił tutaj, a potem te dzieci, lecz Farson i ja ułokowaliśmy je „wygodnie” w kuchni. — Roześmiał się upiornie, aż Alasdair zadżał.

— Co ze sraźnikiem? — warknął Volkington.

— Nie martw się o niego, Jasper — wycedził jakiś inny głos i ukazał się trzeci mężczyzna, olbrzymiego wzrostu, ze złamanym nosem i chytrym uśmiechem. — Usunąłem go z drogi... lub może raczej ułokowałem go równie „wygodnie”.

— W porządku — rzekł Volkington — zamknij tego chłopca razem z łamymi. — A kiedy Craik prowadzi Alasdaira trzymając swą kościatą ręką na jego ra-

(Dokończenie na str. 9)

## List z LONDYNU

### ZWYCZAJE ŚWIĄTECZNE

**C**O roku w wigilię Bożego Narodzenia rozlega się w Dewsbury (Yorksh.re) głos dzwonu zwanego Devil's Knell („Podzwonne diabłu”). Z wyjątkiem okresu II wojny światowej, kiedy to dzwon ten rozlegał się tylko dwukrotnie, dzwonił on co roku od 700 lat. Według legendy zwyczaj ten datuje się od 13 wieku, a zapoczątkował go miejscowy baron, który dla pokuty za zab. c.e swego slugi, ufundował dzwon kościółowi parafialnemu i zażądał, aby głos tego dzwonu rozlegał się w każdej wigilię Bożego Narodzenia. Dzwonienie przypominać miało baronowi jego zbrodnię. Miejscowa ludność wierzyla, że bicie dzwonu (obliczone tak, że ostatnie uderzenie wypadła właśnie na godzinę 12) odpędza od parafii diabła na przeciąg najbliższych 12 miesięcy.

**W** wigilię Bożego Narodzenia w całej Anglii, a szczególnie w jej północnych okęgach odbywa się śpiewanie kolęd w kościołach. W wielu miejscowościach odgrywa się też jasełka, oparte na tekście Nowego Testamentu, opisującym wydarzenia w Betleem 2000 lat temu.

Święta Bożego Narodzenia są wielkim świętem rodzinnym. Obiad w pierwsze święto, podczas którego podaje się indyka i pudding rodzynekowy — to tradycy. ny doroczny posiłek. W wielu miejscowościach obchód świąteczny koncentruje się wokół świątecznego stołu. Tak dzieje się na przykład w Queen's College na uniwersytecie oxfordzkim. Zwyczaj ten nazywa się uczta Głowy Dzika.

Według legendy powstaniu tego święta dała początek przygoda jednego ze studentów Queen's College. Było to 500 lat temu: student czytał właśnie podczas przechadzki Aristotelesa, gdy zaatakował go dzik. Jedyną bronią studenta była książka. Wcisnął więc gruby tom w gar-



dio bestii wykrzykując „Graecum est”. Dzik nie mógł przekonać tyje greki i udlawił się. Student przywłókł go do domu z trumfem. Od tego czasu głowa dzika stała się najbardziej uroczystą potrawą świąteczną w Anglii. Podawało się ją na złotych i srebrnych talerzach, przybrała w koronę uwienconą złotymi liśćmi wawrzynu, oraz gałkami jemioły i rozmarynu. Potrawę wносиło się do jadalni przy dźwiękach fanfar.

Inną wspaniałą potrawą świąteczną w dawnych czasach był paw. Odarty ze skórki, upieczony i pokryty swym upierzeniem. Pióra przyzywano, gdy ptak już wystygł po upieczeniu. Złożono mu także ozdoby. Przyprawiany korzeniami i faszerowany włoszczyzną i jajami podawany był w gęstym sosie. Przy akompaniamencie muzyki wnoszono go do jadalni najpiękniejsze lub najdostojniejsze panie, otoczone orszakiem ładnych dziewcząt. Czasem podawano tego wspaniałego pawia w cieście, a rycerze przysięgali na pióra, którym był obsyty, że w następnym roku przedsiębrać będą niebezpieczne wyprawę.

Po obiedzie goście, w swych barwnych, okrytych drogocennymi kamieniami strojach zabawiali się starą grą świąteczną — zwaną „Snapdragon”. Na wielkich półmiskach obnoszono po sali rodzynki pływające w palącym się koniaku. Goście musieli palcami łowić rodzynki wśród płomienia i wkładać je do ust. Zabawa ta nastęrczała wiele powodów do „radości i śmiechu”. Nigdy nie zapomniano o potrawie zwanej „Snapdragon Dish”, której podanie było wezwaniem do ogólnej weselości, ani o zwyczaju częstowania się czarą zwaną „Wassail Bowl” napełnioną winem korzennym lub piwem. Krążyła ona wokół stołu od ust do ust wśród powszechnej radości, która cechowała staroangielskie święta Bożego Narodzenia.

Jonathan Trafford.





## Podarunki gwiazdkowe

**Z**YCIE w Willow Lodge upływało w cyklu uroczystości: Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Święta, wakacje letnie, a między tym rozsiany cały szereg najszybszych świąt, jak — wystawy koni, festyny, wyścigi w Flintobridge czy akademie szkolne.

Najważniejsze jednak, najbardziej ożywione, stałe, nieuchronne — było bezsprzecznie Boże Narodzenie. Okres świąteczny zaczynał się chyba od chwili, gdy mali chłopcy wybiegali po raz pierwszy na ulice Kiplingtonu w mroczny wieczór listopadowy, wołając: „Penny for the Guy“ (Pensa dla Guy'a — Guy Fawkes był jednym z uczestników spisku prochowego). Oznaczało to zbliżanie się dnia 5 listopada, — uroczystości Spisku Prochowego. Już na długo nim w jasno oświetlonych oknach wystawowych pobliskiego miasteczka Kingsport ukazały się napisy „rób zakupy zawczasu“ nadchodzące święta zaćmiewały wszystkie inne sprawy domowe państwa Beddows. Nastrój ten narastał odtąd ciągle, aż osiągał swój punkt szczytowy z dniem pierwszego święta, w uroczystej chwili krajania indyka w kręgu rodziny, zgromadzonej przy świątecznym stole. Potem jednak ciągnął się dalej, poprzez wakacje służby i poświąteczne niestrawności,

poprzez kruszące się, zeschnięte gałęzie chojn i świerków, aż do chwili, gdy można już było wyrzucić stare kalendarze i podejmować zielone girlandy ze ścian, gdy nadchodził wreszcie Nowy Rok.

Zwykle napięcie i trudy okresu świątecznego dla pani Beddows urastały dwudziestokrotnie. Działo się tak zarówno z powodu jej własnego charakteru, jak i skąpstwa jej małżonka. Pani Beddows była bowiem tak hojna, znajomych miała tak wielu, a zamilowanie do życia towarzyskiego tak nieokiełznane, że bez trudu mogłaby wydać na święta cały dochód narodowy. Tymczasem jednak przechodziła beznadziejne tarapaty, usiłując pomieścić swe zamilowanie do rozrzutności w granicach skromnych środków finansowych.

Przez cały rok pani Beddows wraz z całą swą rodziną gromadziła rzeczy, które na gwiazdkę miały być ofiarowane komuś w prezencie. W szafie, na górce, którą nazywano „schowkiem wspaniałości“, gromadziły się zwolna skarby z loterii fantowych i urodzin, ze zniżkowych wyprzedazy i z tandety, były tam nawet prezenty otrzymane przez państwa Beddows na gwiazdki poprzednich lat.

W początkach grudnia wydobywano na światło

dzienne zawartość „schowka wspaniałości“ i znoszono na przegład do jadalni. Wazon od ciotki Urszuli uszedłby dla wikarego; nie można jednak postać panu Dale oprawnego w ramki wiersza („Bóg świadkiem, ogród to przepiękna rzecz“) od pana Peckowera. Wszyscy ci, co przeszli prezenty zeszłego roku, muszą być teraz z kolei obdarowani. Dopiero jednak po załatwieniu w ten sposób wszystkich istniejących już długów, zaczynały się właściwe emocje. Nadchodzące kartki świąteczne, drobne toaletowe i zakładki do książek zestawiano natychmiast z listą wysłanych prezentów i wielka była konsternacja w Willow Lodge jeśli okazywało się przypadkiem, że kuzynka Róża, która przysłała flakon z różnego szkła, otrzymała w zamian tylko trzy wieszaki w saszetce z kretonu. Nieprzewidziane podarunki wtrącały całą rodzinę w istną gorączkę pładrowania szuflad i kredensów w poszukiwaniu odpowiedniego na rewanż prezentu. W miarę, jak zbliżał się dzień Bożego Narodzenia, topniał zapas przedmiotów nadających się do wymiany, tak że w końcu rozsyłano nawet tegoroczne podarunki „jeszcze ciepłe“ z poczty, przeadresowując je tylko i zmieniając wizytówki.

Oprócz tej wymiany uprzejmości, były też jeszcze obowiązkowe prawdziwie filantropijne, które pochłaniały całą gotówkę: polcie wołowiny dla wszystkich dawnych służących i ich mężów, węgiel i koce dla starych i chorych sąsiadów, zabawki, pomarańcze, słodycze i pensy dla wszystkich okolicznych dzieciaków, i w końcu paczki z herbatą, babką, lub nawet z whisky dla dziesiątków znajomych pani Beddows, których nazwiska zdawały się automatycznie wynurzać w jej pamięci w okresie Bożego Narodzenia.

Winifred Holtby: „South Riding“



## Smutne święta

**B**YŁO pogodne świąteczne popołudnie. Zmierzchało. Nabożeństwo wieczorne skończyło się właśnie i poczciwy ludek Bidefordu spieszył do domów wesołymi grupkami, — ojciec z dziećmi, chłopiec ze swą dziewczyną — do ciasta i piwa, do kołęd, szarad, żakoci i wszystkich uciech świątecznych. Tylko jakaś pani, której towarzyszyła służąca, szła szybko w kierunku mostu wiodącego do Northam, otulona szczególnie w czarny szal i smutna. Sir Richard Grenville podszedł do niej razem z żoną, zatrzymując ją uprzejmie.

„Przyjdźcie pani do nas, pani Leigh“, — rzekła Lady Grenville, „i spędzimy razem miły wieczór świąteczny“.

Pani Leigh uśmiechnęła się ze słodyczą i kładąc rękę na ramieniu Lady Grenville, drugą wskazała na zachód.

„Nie mogę spędzić miłego wieczoru“, rzekła „dopóki uszy moje pełne są tego dźwięku“.

Oboje państwo Grenville spojrzeli w kierunku, który wskazywała. Błado błękitne niebo ponad ich głowami

szarzało zwolna i gdzieś tam zaczynały już migotać mgliste światełka gwiazd; lecz bardziej ku zachodowi, tam gdzie lasy i wzgórza Raleigh łączyły się z pagórkami Abbotsham, błękit był jakby zwłoczony i przetykany delikatnymi płatkami białej. Tęczowe iskierki, znaczące drogę, którą tylko co stoczyło się słońce, mieniły się wszystkimi barwami, jak łuski konającego delfina, a nisko na horyzoncie leżał długi pas soczystej zieleni. Lecz cóż to za dźwięk niepokoił panią Leigh? Serca państwa Grenville pełne były radości, a ich uszy brzęczącego rozgwaru miasta. Żadne z nich nie usłyszało nic, aż do tej chwili: lecz teraz — słuchajcie!

Spokój był śmiertelny. Żaden powiew nie potrafił nawet zdźbiła trawy. A jednak powietrze pełne było tego dźwięku. Ponad lasami i wzgórzami, ponad mokradłami i ponad rzeką, przetaczał się niski, głuchy pomruk, jak odległe dudnienie tysięcy kół, lub przemarsz niezliczonych armii, lub w końcu — i tak

było zresztą w istocie — jak potężne uderzenia fal morskich o wały nadbrzeżne.

„Słychać dziś wały“ — rzekł Sir Richard. — „Gdzieś musi być wiatr“.

„Jest wiatr tam, gdzie jest teraz mój syn. Niech go Bóg prowadzi“ rzekła pani Leigh. Wiedzieli, że mówiła prawdę. Sztorm atlantycki dawał o to znać o swym przybyciu tym łagodnym na pozór wzdymaniem się fal morskich, które słychać było jednak na 3 km w głąb lądu. Jutro żwir, ośypujący się teraz za każdą ustępującą falą będzie może odpryskiwał w górę na wysokość wału, będzie wystrzelał, jak grad kul aż na mokradła pod naporem wzbierających balwanów, uciekających w popłochu przed wściekłością zachodniego huraganu.

„Niech go Bóg prowadzi“, powtórzyła pani Leigh.

„Bóg jest przy nim na morzu, tak, jak na lądzie“ rzekł poczciwy Sir Richard.

„To prawda. Ale ja jestem tylko samotną matką. Człowiek nie ma w takich chwilach na nic ochoty, chyba pójść do domu i pomodlić się“.

I pani Leigh odeszła w swoją uliczkę i całą noc spędziła na wsłuchiwaniu się, między jedną a drugą modlitwą, w pomruk fal morskich, który jeszcze na długo przed wschodem słońca zagłuszył grzmot i loskot sztormu.

Charles Kingsley (1819—1875)

„Westward Ho!“



## Boże Narodzenie na biegunie

**W**DZIEŃ Bożego Narodzenia niebo było czarne, jak atrament, padał gęsty śnieg i podmuchiwał słaby wiatr. Boże Narodzenie. Myśli nasze wędrowały raz po raz ku domowi, lub ku tym z naszych kolegów, którzy rozproszeni w małych grupkach na przestrzeni setek kilometrów czuli zapewne to samo, co i my. Zastanawialiśmy się czy są bezpieczni i piśnisi ich zdrowie kawą. Długo nie wychodziliśmy tego dnia, lecz gdy pogoda zaczęła się poprawiać, zabraliśmy z Frankiem nasz teodolit i wyruszyliśmy na pomiary pozostałego nam jeszcze 5 kilometrowego odcinka. Po południu niebo rozjaśniło się, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, lecz ostry zimny wicher utrudniał pracę z teodolitem. Mało brakowało, a byłoby to moje ostatnie Boże Narodzenie, życie moje wisiało już bowiem na włosku. Powiązaliśmy się naprawdę liną dla pewności, lecz w ostatniej chwili odłączyłem się dla pośpiechu od Franka, aby zbadać zaspę śnieżną, która obsunęła się o jakiś kilometr przed nami.

Byłem już mniej więcej w połowie drogi, kiedy nagle poczułem pustkę pod nogami. Na szczęście upadłem wprost przed siebie przy czym zaciępiłem ręką o przeciwny kraniec szczeliny, szerokiej na jakieś półtora metra. Czubkiem stopy wspierałem się o wystający ze ściany skalnej kawał lodu, który jednak kruszył się stopniowo pod moim ciężarem. Druga noga zawisa w próżni, daremnie szukając oparcia. Wisiałem tak przez kilka sekund, z głową na poziomie powierzchni lodu. Wołałem, Frank był jednak poza zasięgiem głosu. Widział zresztą moje zniknięcie i biegł już wtedy w moim kierunku. Nim się zbliżył, udało mi się jakoś wygramolić ostrożnie na twardej lod. Całe szczęście, że upadłem w poprzek szczeliny, a nie na skos, — parę centymetrów różnicy nie pozwoliłoby mi już uchwycić krawędzi. Zaglądałem później przez szczelinę w błękitną przepaść i rzuciłem kawałeczki lodu, by zbadać jej głębokość. Dzwoniły objając się o ściany gdzieś głęboko, potem odzywały się znów,

ciszej i ciszej, aż odgłos ich upadku stawał się niedosłyszalny.

Obiad świąteczny tego dnia z atmosferą przygody i koleżeństwa pozostał dla mnie przeżyciem niezapomnianym. Bigos był smaczniejszy niż najlepszy pieczony indyk, a kawa podniecała, jak szampan. Na zakończenie wjechała strucla Franka. Rano przed wyjściem z baraku upiekłem już wprawdzie babkę na wieczór, wydała nam się jednak za duża i zjedliśmy ją od razu. Teraz więc Frank pokazał co umie. Jego strucla była doskonała, dyskutowaliśmy jednak długo czyjej należy się pierwszeństwo. Na deser mieliśmy jeszcze trochę fig, rodzynków i migdałów i puszkę świetnych herbatników. Wzniesiliśmy toast na cześć króla, naszych rodzin i przyjaciół, naszych towarzyszy i nas samych w końcu, po czym w pogodnym nastroju, ułożyliśmy się do snu w naszych śpiworach.

C. E. Laseron. Na południe z Mawsozem.

wyd. 1948 (Rec. Nr 46/107 G. A.)

**P**ORANEK owego dnia Bożego Narodzenia w 1879 roku był piękny. Gdzieś koło czwartej słońce zaczęło świecić ponad mroczną roztoczą południowego oceanu na szerokości 51°, a wkrótce potem zoczyliśmy żagiel przed nami. Wiatr był słaby, ale morze toczyło się ciężką falą. Złożyłem życzenia „wesołych świąt” mojemu kapitanowi. Wydawał się jeszcze senny, lecz w dobrym humorze. Powiadomiłem go o dalekim żaglu: zaryzykowałem przypuszczenie, że ze statkiem tym coś jest nie w porządku. „Nie w porządku?” — powtórzył niedowierzająco. Zwróciłem jego uwagę na fakt, że wszystkie górne żagle statku są zwinięte, a on sam ustawiony pod wiatr, co w tych stronach świata trudno wytłumaczyć jakąś inną teorią. Wziął szkła ode mnie, skierował je na ogołocone maszty, podobne do trzech zapalek, kotłujących się w górę i w dół, chwylających się tam i sam w tym ruchomym i smutnym pustkowiu niezliczonych pagórków wodnych i oddał mi je bez słowa. Zlewnął tylko. Ten jawny pokaz obojętności zgorszył mnie. Za owych dni nie mogłem się jeszcze chlubić zbytkiem doświadczenia, a szczególnie na tych wodach wciąż jeszcze byłem raczej nowicjuszem.

Kapitan, zwyczajem kapitanów zniknął z pokładu. Dopiero po pewnym czasie na drabince rufy ukazał się nasz cieśla, niosąc pustą beczkę drewnianą z tych, w której pakuje się niektóre okrętowe prowianty. „Po co to wleciesz, Chips?” — spytałem zdumiony. „Rozkaz kapitana, sir”, wyjaśnił zwięźle.

Nie miałem zamiaru wypytywać go dalej, toteż wymieniliśmy tylko życzenia świąteczne, po czym cieśla oddał mi się. Następną osobą, którą odezwiała się do

## Boże Narodzenie na morzu



mnie był steward. Wybiegł ze schodów kajut — kompanił. „Czy nie ma pan u siebie jakich starych gazet?, sir?”

Opuściliśmy Sydney w Nowej Południowej Walii osiemnaście dni temu. W kabinie mojej poniewierano się kilka starych sydneyjskich „Heraldów”, „Telegraphów” i „Bulletinów”, a oprócz tego parę numerów gazet krajowych, otrzymanych ostatnią pocztą. „Dlaczego pytasz o to?” zagadnąłem go oczywiście. „Kapitan chciałby je mieć” odparł.

Ale nawet wtedy nie zrozumiałem sensu wszystkich tych dziwactw. Pogłębiło się tylko moje nad nimi zdumienie. Była już ósma, kiedy zrównaliśmy się z tamtym statkiem, który pod swymi krótkimi żaglami i nie dając w żadnym określonym kierunku, zdawał się błądzić bez celu u samego progu pęsniej siedziby mórz. Jednakże już na długo przed ową godziną dowiedziałem się, że ten nonszalancki statek jest statkiem wielorybniczym. Był to pierwszy wielorybnik, jakiego w życiu widziałem. Wyciągnął na maszt sztandar w gwiazdy i pasy, a jego flagi sygnałowe powiedziały nam, że nazywa się „Alaska”. — Dwa lata od wyjścia z New Yorku — na wschód od Honolulu — dwieście pięćdziesiąt dni połowu.

Mijałszy go płynąc powoli, oddaleni nie więcej, jak o sto metrów; i właśnie kiedy steward uderzył w dzwon na śniadanie, kapitan i ja unieśliśmy w górę, dobrze widoczną dla postaci zebranych na rufie beczkę, zawierającą oprócz ogromnego zwoju gazet dwie skrzynki fig dla uczczenia świątecznego dnia. Rzuciliśmy ją z rozmachem z burtę. Natychmiast statek nasz, ześlizgując się po zboczach wysokiej fali, pozostawił ją daleko poza sobą w swym śladzie. Na pokładzie „Alaski” jakiś człowiek w futrzanej czapce wyrzucił w górę ramię. Jakś inny, postać bardzo zaroięta i ozdobiona krzaczastymi bokobrodami, pobiegł nagle ku dziobowi. Nigdy nie widziałem czegoś równie prędkiego i sprawnego, jak sposób, w jaki wielorybnik, wciąż przewalając się bezradnie z boku na bok, opuścił jedną ze swych szalup. Południowy ocean podrzucał oboma statkami, jak żongler swymi poślaczanymi kulami, podczas gdy mikroskopijna biała plama szalupy przylączyła się do zabawy w mgiełku oka, jak gdyby wystrzelona z procy na ogromną, pustą scenę. Yankieski wielorybnik nie stracił ani chwili, by podjąć bożonarodzeniowy prezent od angielskiego transportowca wełny.

Joseph Conrad. Last Essays, 1926

**P**O południu w dzień wigilii Bożego Narodzenia byłem w ogrodzie pani Prothero razem z jej synem Jimem. Padał śnieg. Padał tak w każde Boże Narodzenie. We wspomnieniach moich grudzień pozostał na zawsze biały jak Laponia — chociaż nie było reniferów. Były za to koty. Cierpliwi, zmarznięci, ze zgrabiętymi rekoma owiniętymi w skarpetki czekałiśmy na koty, by zaatakować je kulami ze śniegu. Miały ukazać się na murze za domem, zwinnie, długie, jak jaguary i straszliwie wąsate. Mruczając i parskając miały skradać się chyłkiem wzdłuż muru, a ja i Jim, łowcy bystroocy, odziani w futrzane kaptury i mokusyny, myśliwi znad zatoki Hudson (przy ulicy Eversley Road), mieliśmy młotać nasze śmiertelne śnieżne pociski prosto w ich zielone ślepa. Ale przebiegłe koty jakoś nie nadchodziły. Trwaliśmy w takim napięciu — przyczajeni w naszych eskimoskich butach wśród głuchej ciszy śniegów wieczystych (wieczystych już od środy) że nie słyszeliśmy zupełnie pierwszego okrzyku pani Prothero z „igloo” w końcu ogrodu. A jeśli nawet słyszeliśmy cośkolwiek, to musiało nam się to wydać odległym wyzwaniem naszego wroga i ofiary: „polarnego” kota od sąsiadów. Wkrótce jednak wołanie stało się głośniejsze. „Pozar!” — krzyczała pani Prothero i uderzyła w gong. Pobiegliśmy w głąb ogrodu dźwigając pełne narażca kul śnieżnych. Rzeczywiście dym buchał z okien ja-

## Wigilijne towy



dał, gong dźwięczał donośnie, a pani Prothero głośno wiesć grobową, jak trębacz pompejański. Toż to była gratka! Większa niż wszystkie koty Wali ustawione rzędem na murze. Wpadliśmy do domu — wciąż obciążeni kulami śnieżnymi i stanęliśmy w otwartych drzwiach zadymionej jadalni. Coś się tam paliło na dobre. Może pan Prothero, który spał tu zwykle po obiedzie z gazetą na twarzy? Ale nie. Pan Prothero stał na środku pokoju, mówiąc: „Ładne mi Boże Narodzenie” i chłostał dym nocnym pantoflem. „Zadzwoń po straż pożarną”, — zawołała pani Prothero, waląc w gong. „Nikogo nie będzie” — odpowiedział pan Prothero. „Są święta”. Nie było wcale widać ognia, tylko kłęby dymu i pana Prothero, stojącego wśród nich i wymachującego pantoflem jakby dyrygował orkiestrą. „Zróbcie coś” powiedział, więc wrzuciliśmy nasze śnieżne kule prosto w dym. (Zdało się, że chybiliśmy pana Prothero i wybiegliśmy z domu do bud-

ki telefonicznej. „Zadzwońmy też na policję” — powiedział Jim. „I na pogotowie. I do Ernle Jenkinsa, — on tak lubi pożary”. Ale zadzwoniliśmy w końcu tylko po straż pożarną. Bardzo szybko przyjechały siłkawkę i trzech wysokich mężczyzn w hełmach wniosło do domu gumowego węża. Pan Prothero ledwo zdążył odskoczyć, kiedy puszczał wodę. Nikt nie miał na pewno hałaśliwszej wigilii. Kiedy strażacy zakreśliłi już swego węża i stali w mokrym, zadymionym pokoju, ciotka Jima, panna Prothero, zeszła z góry i zaczęła się im przypatrywać. Staliśmy z Jimem bardzo cicho, czekając co im powie. Panna Prothero zawsze umiała powiedzieć coś najwłaściwszego. Teraz patrząc na trzech strażaków, stojących w swych błyszczących hełmach wśród resztek dymu, popiołu i topniejącego śniegu, zapytała uprzejmie: „Może dać wam coś do czytania?”

Dylan Thomas

## Noc wigilijna

**P**OTEM herbata była, a potem śpiewy. Wszyscy oni bowiem znali się na muzyce i wierzcie mi, że pysznie dawali sobie radę, gdy chórem przyszło im śpiewać na głosy; zwłaszcza Tobiasz, który basem umiał nisko warczeć, niczym niedźwiedź i ani żyły mu przy tym nie nabrękiły, ani poczerwieniał nawet na licu. Zona siostrzeńca grała pięknie na harfie, a między innymi grała piosenkę jedną prostą (ni by to nic: w dwie minuty nauczyłbyś się ją gwizdać), którą śpiewało ongi owo dziewczę, które wybawiło Skurcza z tej ponurej szkoły, którą przywodził mu na pamięć Duch minionych wigilii. Gdy piosnka ta brzmiała z cicha, poczęły się Skurczowi cisnąć w głowie rozmaite wspomnienia, wywołane przez Ducha, i serce tajało mu coraz bardziej i bardziej. Myślał, iż, gdyby piosnki tej słuchać był mógł częściej przed laty, byłby pewno zachował świeżość i szczerłość serca, i to własną zasługą, nie czekając, aż pomoże mu w tym łopata grabarza, który Jakuba Marlaka pochował.

Nie cały wszakże wieczór poświęcono śpiewom. Niebawem zaczęły się gry towarzyskie, dobrze jest bowiem być czasem dzieciakiem, a najlepiej chyba w to święto, którego początek zawdzięczamy Dziecięciu.

Zaczekajcie! Więc tedy najpierw była ciuciubabka. Jakżeby inaczej! A, wiecie, ja tak samo nie wierzę, żeby Tobiasz miał być oczy zawiązane porządnie, jak i w to, żeby miał oczy w butach. Moim zdaniem, musiało tam być porozumienie między nim, a siostrzeńcem Skurcza, i Duch pewno o tym coś wiedział. Spo-



sób, w jaki uganiał za pulchniutką siostrą, tą w koronkowej chustce, był wręcz obrazą dla ludzkiej ła-two-wierności. Próżno wymyślała się, przewracając po-grzebacz, przeskakując krzesła, potykając się o forte-pian, czy zagrzebując się pomiędzy firanki, gdziekol-

wiek się ukryła, on zaraz był przy niej. On zawsze wiedział gdzie pulchna siostra się znajduje. Kogo innego złapać nie umiał. Gdybyś stanął mu wprost nośa, jak nieraz to czyniono, i stał tak nieruchomy, byłby starał się złapać cię tak niezgrabnie, że ani sposób wpaść mu w ramiona, i zaraz mięciem pomknąłby był boczkłem, zmierzając w miejsce gdzie była pulchna siostra, jak w sedno! Ona też nieraz wołała, że to nieuczciwie; jakoż było to nieuczciwie. A gdy dopadł jej wreszcie, gdy mimo wywijanie się tak zwinnie, że jeno suknia szeleściła, a furczała, przycupił ją w kącie, z którego już nie było ucieczki, zachował się wręcz burzająco. Udawał jeszcze, że jej nie poznał, udawał, że musi; w tym celu dotknął jej głowy, że musi prócz tego dla sprawdzenia jej tożsamości namacać czy też ma pewien pierścionek na palcu i pewien łańcuszek na szyi... Nie, to było bardzo nieuczciwie! Ale też zmyla mu pewnie głowę, jak należy, gdy ktoś inny został ciuciubabką, a on w ustrodnym kącie szeptał coś półgłosem.

Dickens

„Noc wigilijna”. Tłum. Wierzbicka, Kraków 1908

A. A. Milne (ur. 1882) był w latach między 1910 a 1940 jednym z najpopularniejszych angielskich pisarzy humorystycznych. Od 1906 do 1914 r. był redaktorem słynnego tygodnika humorystycznego „Punch”. Jest on również bardzo znany jako autor wierszyków i opowiadań dla dzieci. Podajemy poniżej wyjątek z książki o Kubusiu Puchatku, w której opisane są przygody synka autora Krzyszka, jego pluszowego niedźwiadka i różnych ich znajomych. Rozdział ten nazywa się:

## Puchatek idzie z wizytą i wpada w potrzask

PŁYWNĘGO pięknego dnia Miś, zwany przez swych przyjaciół Kubusiem Puchatkiem, albo krócej Puchatkiem, przechadzał się po lesie, pomrukując dumnie pod nosem. Tego dnia właśnie ułożył sobie małą piosenkę, gdy wczesnym rankiem robił przed lustrem swe codzienne ćwiczenia gimnastyczne ku pokrzepieniu ciała: „Tra-la-la, tra-la-la”, podśpiewywał gdy wyprężył się w górę jak tylko mógł i potem „Tra-la-la, tra-la-la — ojej, ledwo żyję”, gdy nie zginając kolan próbował dosięgnąć palcami podłogi. Po śniadaniu powtarzał ją sobie raz po raz, dokąd nie nauczył się jej na pamięć. Teraz wymrukiwał ją sobie bez zajknięcia. Brzmiała ona mniej więcej tak:

Tra-la-la, tra-la-la,  
Tra-la-la, tra-la-la,  
Rum-tum-tum, tra-la-bum,  
Rum-tum-tum, tra-la-bum



Szedł więc sobie Puchatek i wesoło podśpiewywał tę piosenkę, rozmyślając o tym, co kto robi i jak to jest, kiedy się jest kim innym, aż zaszedł na piaszczysty wał, w którym była wielka nora.

— Aha — rzekł Puchatek (Rum-tum-tum, tra-la-bum). — Jeśli mam o czymkolwiek pojęcie, to ta nora oznacza duże towarzystwo — powiedział — a duże towarzystwo oznacza łasowanie i słuchanie wesołej Mruczanki i tak dalej. — (Rum-tum-tum, tra-la-bum).

Puchatek wsadził lebek do nory i zaczął wołać:

— Hej, jest tam kto?

Z głębi nory dał się słyszeć rumor, a potem zapadła cisza.

— To co powiedziałem przed chwilą było: „Hej jest tam kto?” — zawołał Puchatek donośnym głosem.

— Nie! — zabrzmiała odpowiedź z wewnątrz. Po czym ten sam głos dodał: — Nie wrzeszcz tak. Słyszałem cię zupełnie dobrze za pierwszym razem.

— Do licha — rzekł Puchatek — czy tam naprawdę nie ma nikogo? — Nikogo.

Kubus Puchatek wysunął lebek z nory, zastanowił się przez chwilę i pomyślał w duchu: — Ktoś tam musi być, skoro powiedział: „Nie ma nikogo”. — Po czym znów wsadził lebek do nory i powiedział:

— Hej, Króliku, czy to czasem nie ty?

— Nie, — powiedział Królik, tym razem już innym głosem

— A czy to nie jest czasem głos Królika?

— Nie myślę, żeby tak było — odparł Królik — w każdym razie nie powinno tak być.

— Aha — powiedział Puchatek.

Znów wysunął lebek z nory, pomyślał trochę i znów go wsadził z powrotem i powiedział:

— No dobrze, a może będziesz tak uprzejmy i powiesz mi, gdzie jest Królik.

— Poszedł odwiedzić swego przyjaciela Kubusia Puchatkę, który jest jego wielkim przyjacielem.

— To właśnie ja — odpowiedział

— Co za ja?

— Kubus Puchatek.

— Czy jesteś tego pewien? — zapytał Królik jeszcze bardziej zdziwiony.

— Najzupełniej pewien — odpowiedział Puchatek.

— W takim razie proszę, wejdź. Puchatek zaczął się przepychać z całych sił przez otwór nory, aż wreszcie wlaź do środka.

— Miałeś zupełną rację — powiedział Królik przypatrując się pilnie Misiowi — To jesteś ty. Cieszę się, że cię widzę.

— A tyś myślał, że kto tam był?

— Widzisz, nie byłem zupełnie pewien. Wiesz jak to jest w lesie. Nie można nikogo wpuszczać do domu. Trzeba być bardzo ostrożnym. Ale co myślisz o tym, żeby przekazać co nieco?

Puchatek lubił przekazać swoje małe Conieco o jedenastej rano i cieszył się bardzo widząc, jak Królik wydobywał z szafki garnuszki i talerze i gdy Królik zapytał: — Co wolisz, miód czy marmeladę do chleba? — Puchatek był tak wzruszony, że powiedział: — Jedno i drugie — i zaraz potem, żeby się nie wydać żarliwiej, dodał: — Ale po co jeszcze chleb, Króliku? Nie rób sobie za wiele kłopotu. — I przez dłuższy czas potem nic nie mówił. W końcu Puchatek zamruczał coś do siebie, wstał, uścił serdecznie łapkę Królika i powiedział, że musi już iść.

— Czy nie mógłbyś zostać jeszcze trochę? — zapytał Królik uprzejmie.

— Owszem — odparł Puchatek — mógłbym zostać jeszcze trochę, gdybyś — gdybyś — i spojrzał wymownie w stronę spizarni.

— Prawdę mówiąc — odezwał się Królik — to i ja miałem właśnie wyjść.

— No widzisz. Więc ja już idę. Do widzenia!

— A no trudno. Do widzenia! Jeśli nie masz ani chwili czasu...

— A ty czy nie miałbyś czegoś?...

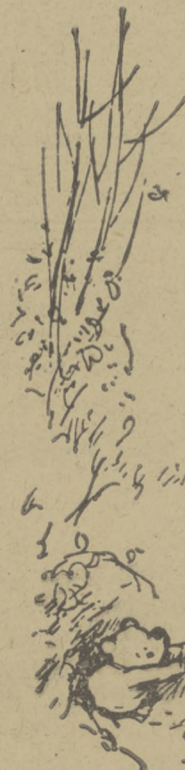
Królik zdjął pokrywki z garnuszków, zabrał do środka i powiedział: — Nie, nic nie mam.

— Ja tylko tak... — rzekł Puchatek kiwając lebką — ale już muszę iść. Do widzenia!

To mówiąc zaczął gramolić się z nory przez ten sam otwór, którym wszedł. Wyciągnął przed siebie przednie łapki, popychał się tylnymi i po chwili jego nosek wyjrzał na świat boży, a potem uszy... a potem przednie łapki... potem ramiona... i nagle —

— Ojej — zawołał Puchatek. — Pomocy! Ja chyba wrócę z powrotem!

— Do licha! Przecież ja muszę się stąd wydostać! — krzyknął Puchatek.



— Ale nie mogę robić jednego i drugiego! — wołał. — Pomocy do licha!

A tymczasem Królik postanowił pójść na mały spacer, a że frontowe drzwi jego mieszkania okazały się zastawione, wyszedł przez kuchenne, okrążył dookoła całe mieszkanie i przyszedł do drzwi frontowych, w których zastał Puchatkę.

— Co to? — zapytał — czy cię wzdęło?

— Nie, skąd? — odparł Puchatek jakby od niechcenia. — Ot, po prostu, wypoczywam, rozmyślam i lurczę do siebie samego.

— Daj mi łapkę.

Miś Puchatek wyciągnął łapkę i Królik zaczął ją ciągnąć i ciągnął z całych sił. — Aj! — krzyknął Puchatek — boli!

— Nic innego, tylko cię wzdęło!

— A ja ci mówię, że to są skutki tego, — rzekł Puchatek gniewnie — że się nie ma drzwi frontowych dostatecznie szerokich.

— A ja ci mówię — zrzędził Królik, — że to są skutki nadmiernego jedzenia. Myślałem o tym. Tylko nie chciałem nic mówić. O tym, że jeden z nas je o wiele za dużo. I to nie ja. Ale trudno. Idę po Krzysia.

Krzys mieszkał na drugim krańcu lasu i gdy nadszedł z Królikiem i zobaczył przednią połowę Puchatki wystającą z nory powiedział: — Ach, ty stary, głupi Misiu — ale powiedział to tak czule, że w serca wszystkich nagle wstąpiła nadzieja.

— Juź mi się zdawało — powiedział Puchatek prychnąwszy noskiem i jakby od niechcenia — że Królik już nigdy nie będzie mógł używać swoich drzwi frontowych. A byłoby to dla mnie nie coś zmiesienia.

— I dla mnie też — powiedział Królik.

— Że nie będzie mógł używać swoich drzwi frontowych? — powtórzył Krzys. — Nic podobnego. Ma się rozumieć, że będzie mógł.

— No to dobrze — rzekł Królik.

— W najgorzej razie, jeśli nie będziemy mogli cię wyciągnąć, Kubusiu, to wpełniemy cię z powrotem.

Królik nastroszył wąsiki w głębokim namyśle i orzekł, że z chwilą, gdy Puchatka wpełni się na tamtą stronę, Puchatek zostanie już po tamtej stronie i że nikt, oczywiście, nie będzie się tak z tego cieszył, jak on, Królik, i że niektórzy mieszkają w dziupli drzewa, a inni znów w norach, pod ziemią i że —

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że ja się nigdy stąd już nie wycostanę?

— Chcę przez to powiedzieć — rzekł Królik — że jeśli się już przepchałeś tak daleko, byłaby wielka szkoda zmarnować ten cały twój wysiłek.

Krzys był tego samego zdania.

— Pozostaje nam tylko jedno — odezwał się. Poczekać aż trochę schudniez.

— A ile czasu trzeba na to, żeby trochę schudnąć? — zapytał Puchatek zaniepokojony.

— Myślę, że chyba z tydzień.

— Ale ja nie mogę sterczeć tu przez cały tydzień.

— Możesz, możesz, mój poczciwy Misiu, łatwo da się to zrobić. Trudno jest tylko cię stąd wyciągnąć.

— Poczytamy ci trochę — rzekł Królik łagodnie — i mam nadzieję, że śnieg nie będzie padać. I powiem ci szczerze, mój kochany, że zabie-

rasz sporo miejsca w moim nieszkaniu. Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli użyję twoich tylnych łapek zamiast wieszaka na ręczniki? Po co mają tak sterczeć beczynnie. A tak będzie bardzo wygodnie powiesz na nich ręczniki...

— Cały tydzień — powtórzył Puchatek pośpiesznie. — A co będzie z jedzeniem?

— Obawiam się, że nie — rzekł Krzys. — Chodzi o to, żebyś mógł jak najprędzej schudnąć. Za to będziemy ci czytać.



Miś chciał westchnąć głęboko, ale gdy się przekonał, że nie może; był zbyt zanadto wzdęty, żeka spięła mu z oka, więc powiedział:

— W takim razie możebyś mi przeczytał coś z książki kucharskiej, coś takiego, co by pokrzepiło biednego Misiu uwiecznionego w wielkim potrzasku?

I tak Krzys przez całutki tydzień siedział u północnego końca Puchat-



ka. A Królik wieszał ręczniki na południowym jego końcu, a Miś był pośrodku i czuł, że z każdą chwilą staje się coraz bardziej smukły i wiotki. A pod koniec tygodnia Krzys powiedział: Juź!

Po czym złapał Puchatkę za przednie łapki, Królik złapał Krzysia, a wszyscy krewni — i — znajomi Królika — i zaczęli ciągnąć, ciągnąć, ciągnąć z całych sił.

I przez długi czas Puchatek wołał tylko:

— Oj! I — Aj!

I potem nagle zawołał: — Pif! — zupełnie jakby korek wystrzelił z butelki.

Krzys i Królik, i wszyscy krewni — i — znajomi Królika — i krewni — i wywalili się jedni na drugich... a na samym wierzchu znalazł się Kubus Puchatek, nareszcie wolny.

Miś uklonił się grzecznie swoim przyjaciołom, dziękując im za pomoc i pomrukując dumnie pod nosem, poszedł na przechadzkę po lesie. A Krzys popatrzył za nim czule i powiedział sam do siebie: — Poczciwy stary Miś.

Thum. Irena Tuwim



J. Z. Poznań. Jako stały czytelnik „Głosu Anglii” pozwałam sobie prześleć kilka słów uznania, jak również krytyki pod adresem Sz. Panów. Przede wszystkim Redakcji należy się uznanie za wydawanie pisma, które wszechstronnie informuje nas o życiu Anglii. Muszę przyznać szczerze, że stanowczo za dużo przeznaczają się miejsca w „Głosie Anglii” na politykę. Myślę, że artykuł wstępny na pierwszej stronie „Od Redakcji” zupełnie by wystarczył. Jednocześnie pozwolę sobie przedstawić Panom w ogólnych zarysach jakbym sobie wyobrażał pismo o tak doniosłej roli jak „Głos Anglii”. Pierwszą stroną powinno się poświęcić na politykę, drugą na zagadnienia gospodarcze a reszta powinna być przeznaczona na stałe działy, tak by każdy czytelnik mógł znaleźć coś dla siebie. I tak jedna strona omawiałaby zagadnienia przemysłu, inna zagadnienia całego Zjednoczonego Królestwa, jak sprawy kolonii, ich historii i kultury. Powinny być też stałe działy teatru i filmu, lekko i kącik angielski mogłyby pozostać w tej samej szacie, zaś sport na ostatniej stronie. Można by od czasu do czasu podać reportaże z dziedzin mody, gospodarstwa domowego i życia kobiet. Wtedy każdy czytelnik miałby tę pewność, że w każdym numerze znajdzie coś, co go zainteresuje, podczas gdy dzisiaj nie można tego powiedzieć. Weźmy dla przykładu numer 47 (108). Jest w nim wielki artykuł o przemyśle, który, choć zainteresować może? Chyba inżynierów i ludzi bezpośrednio związanych z przemysłem, i może uczuć ów szkół przemysłowych. W innym miejscu widzimy artykuł na temat muzyki, którego na pewno większość czytelników czytać nie będzie. Więcej takich numerów jak ten, a na pewno przestanie interesować się piśmem wielu czytelników.

Przy okazji chciałbym zaapelować do Szanownych Panów, czy by nie chcieli się podjąć tej wielkiej pracy i podać mi spis wszystkich numerów tygodnika, w których zawierałyby jakiegokolwiek artykuły o filmie, bo chętnie bym je nabył.

Dziękujemy bardzo za list. Podany przez Pana w zarysach plan naszego pisma odpowiada prawie że ściśle porządkowi, którego się trzymamy, z wyjątkiem oczywiście artykułów politycznych, które zajmują pierwszą stronę i przegład prosy. Nie bardzo zrozumiała jest dla nas krytyka numeru 47 na ile pańskich poprzednich wypowiedzi. Chciałby Pan, aby każdy czytelnik mógł znaleźć w „Głosie Anglii” coś dla siebie. Przyznaje Pan także artykułom przemysłowym prawo obywatelstwa. W następnym usłupie swego listu zapytuje Pan jednak po wydrukowaniu artykułu o przemysłe w numerze 47, twierdząc, że czytać go będą „najwyższej” inżynierowie, ludzie pracujący w przemyśle i uczniowie szkół przemysłowych. Jeśli istotnie zainteresował on aż tylu ludzi, to jesteśmy zachwyceni. Polska jest dziś krajem o wiele bardziej uprzemysłowionym niż dawniej i zdobyć czytelników wśród ludzi związanych z przemysłem? To sukces u ogromnej grupy społeczeństwa.

Co do artykułu o muzyce, któremu Pan tak się sprzeciwia, to sądzimy że jeśli nawet zainteresowanie tego rodzaju nie są bardzo szeroko rozpowszechnione, to przecież każdy powinien znaleźć coś dla siebie, a więc i amator muzyki także. Gdyby działy nasze były do tego stopnia sztywne, że muzyka zostałaby pominięta raz na zawsze, wszyscy ci ludzie wiedzieliby raz na zawsze, że w „Głosie Anglii” nic dla siebie nie znajdą. Pamiętając o zainteresowaniach bardziej specjalnych czy nawet rzadszych, musimy od czasu do czasu zamieścić artykuł nie wszystkich interesujący. Przy obrzymanej rozpiętości wieku, zawodów i zainteresowań naszych Czytelników musimy postępować tak, by każdy mógł liczyć, że znajdzie w nim „wszystko” ściśle po swojej mierze. Sądymy, że Pan również się z nami zgodzi.

Spis wszystkich artykułów, jakie ukazały się tego roku, ukazuje się wraz z pierwszym numerem przyszłego roku, będzie on podzielony na działy tak, że znajdzie Pan w nim z łatwością wszelkie artykuły filmowe, wyłożone pod tym nagłówkiem. Artykuły o filmie, drukowane w roku przeszłym, znajdzie Pan w spisie rzeczy w numerze 1 z roku 1942.



# PRZYGODA W WIECZÓR SYLWESTROWY

(Dokończenie ze str. 5)

mieniu, Volkington ciągnął dalej: — Teraz musimy działać szybko. Farson, balem się już, że nasze powodzenie się skończy. Kiedy byłem dziś w Lermont, Macswiney oszrepił mnie, że może być każdej chwili oblawa i z pewnością lądzie, jak tylko spostrzegą nieobecność strażnika. Na nic się zda jechać drogą, będą mieli wszędzie pa role. Musimy wymknąć się wzduż wybrzeża...

Alasdair nic więcej nie słyszał, gdyż w tej chwili Craik oworzył drzwi na zakręcie korytarza i wpełchnął go do kuchni, gdzie w migotliwym blasku ognia chłopiec ujrział Angusa i Christinę, siedzących na krzesłach po obu stronach pieca, z nogami i rękami związanymi i zakneblowanymi ustami.

Z przytłumionym okrzykiem przestraszona Alasdair spojrzął na Craika, ten jednak popchnął go szorsko naprzód. — Siedaj tu — rozkazał, wskazując puste krzesło i podnosząc ze stołu długi sznur. — ulokuj się jak samo wygodnie, jak woiich młodych przyjaciół — rzekł drwiąco.

Należało działać. Teraz lub nigdy. Jeśli pozwoli się związać, wszyscy są zgubieni. Podczas gdy Angus i Christina patrzyli z bezsilną złością na jego pozorną uległość, usadł na krzesło, lecz gdy mężczyzna zbliżał się do niego, zerwał się nagle i pochyloną głową rąbnął go potężnie w żołądek. Craik upadł na podłogę, sapiąc, a Alasdair wymknął się szybko z kuchni... Słyszając, że Volkington rozmawia ciągle z Farsonem w hallu, pomknął na palcach po schodach na górę.

Gniewne krzyki Craika ściągnęły obu mężczyzn do kuchni.

— Ty głupcze — ryknął Volkington — pozwoliłeś się zwalcić smarkaczowi. Łaćna historia. Wiemy stąd. Jeśli ten chłopiec nam umknie, policja będzie tu lada chwila. Craik, Farson, przeszukajcie dom. Ja idę przygodać motorówkę.

Przykucnięty w jednym z sypialnych pokoiów, Alasdair słyszał jak Farson wchodził po schodach na górę. Poczłgał się na mały balkonik, na który wycho-

dziło się z sypialni i spojrzął w dół, zas anawiając się, czy może zaryzykować zejście po grubych lodgach błuszczu. Nagle cofnął się z powrotem do wnętrza. Ktoś wspinał się po błuszczu w górę.

Czekał w napięciu. Był w porządku. Na balustradzie ukazały się dwie ręce, po czym wyłonił się zarys głowy... a na jej głowie okrągła marynarska czapka. Alasdair o mało nie krzyknął z radości. Marynarz zwinnie skoczył na balkon i bezszelestnie, jak cień wszedł do pokoju.

— Halo — wyszeptał Alasdair. — Ja ci dam halo — warknął marynarz, zapalając latarkę. — Ach o ty, chłopaczku? Co się stało?

— Dobrze o tym wiedziałem — rzekł, gdy Alasdair opowiedział mu o wszystkim. Ten jegomość w samochodzie wydawał się jakimś dziwny. Znało mu zależało na tym, by się nas pozbyć. Wiedzieliśmy, że po tej stronie wybrzeża uprawia się szmugiel na wielką skalę, więc kiedy usłyszeliśmy twoje opowiadanie, mój kolega poszedł do Inverduh, by sprowadzić pomoc, a ja przyszedłem tu. Teraz naszym zadaniem jest nie pozwolić im umknąć.

Kiedy to mówił światło zabyło i w drzwiach stanął Farson, olbrzymi i groźny. — Wyłaż stamtąd — krzyknął i urwał z otwartymi ustami na widok marynarza.

— Już idę, kolego — rzekł marynarz i przeszedłszy przez próg rąbnął Farsona w szczękę. — I ty też pójdźesz. To było za Andrew Macleoda — dodał wesoło, widząc, jak Farson zaczął się wślizgić w stronę schodów. — Pędź na dół, odwiąż swego brata i siostrę — zawołał do Alasdaira, a chłopiec przemknął obok nieprzytomnego Farsona.

W kilku minutach Alasdair uwolnił rodzeństwo.

— Prędko — wymamrotał Angus, ledwo zdając mu knebel. — Volkington i Craik zeszedli do łodzi.

— Chodźmy więc — zawołał marynarz, który tymczasem połączył się z nimi i w wielkim pośpiechu wszyscy czworo pobiegli na moło. Lecz Volkington i Craik

już uszli, a warkot motorówki słychać było wyraźnie na oświetlonej księżycem wodzie.

— Za nimi! Do łodzi! — krzyknął marynarz, odwiązując linę. Jeden po drugim wskoczył do „Mewy”. Czysty dźwięk motoru przeszył ciszę, a łódź serowana przez marynarza pomknęła gładko, nabierając coraz większej szybkości.

Wydoławszy się z przysami łódź zanurzała się i skakała, mknąc po zwichrzonym od wiatru morzu. Piana bryzgała na twarze dzieci i marynarza, gdy rozglądali się po skapaniej w blasku księżycowym zatoce.

— Tam są — rzekł marynarz, skracając tak gwałtownie, że dzieci musiały przyłgnąć do burzy.

— Mewa prześcignie wszystkich — krzychał Alasdair pod wiatr. — Już ich doganiamy.

Is ońcie, metr po metrze, prując lśniąca powierzchnię wody dopędzali drugą łódź.

— Słuchajcie — krzyknął marynarz z ręką przy ustach. — Zrównam się z nimi i przeskoczymy na ich łódź. Czy jesteście gotowi? To jedyna nasza szansa. Teraz, gdy będziemy już obok, ty panienko weź ster. — Christina skinęła głową. — Ja zajmę się Volkingtonem, wy chłopcy bierzcie się tamtego...

Byli coraz bliżej celu pościgu i mogli już zobaczyć jak Volkington i Craik rozglądali się rozpaczliwie dokoła. Mewa szła już równo ze śladem drugiej łodzi.

— W porządku, pogotowie bojowe! — Marynarz musiał wrzeszczeć, aby dać się słyszeć wśród ogłuszającego huku motorów. — Bierz ster, panienko i trzymaj się kursu. — Kiedy Christina chwyciła z zapalem ster, obie motorówki zderzyły się całą siłą.

— Na nich, działki — ryknął marynarz i popierając słowa czynem, skoczył do drugiej łodzi, a za nim podążyli chłopcy. Volkington poderwał się na ich spokanie, wymachując dużym kluczem, lecz marynarz trzepnął go w ramię, jedną pięścią, a drugą zadał nabrzmiałej twarzy Volkingtona cios, który byłby zwalił byka. Volkington zachwiał się i kozioł-



kując poprzez chłopców, którzy walczyli na rufie z Craikiem, wpadł z pluskiem do morza.

Podczas, gdy chłopcy wiązali ręce Craika, marynarz wziął ster i zawrócił łódź do miejsca, gdzie Volkington borykał się z falami. Zarzucając łódź, chwycił hak do cumowania i bezceremonialnie przyciągnął Volkingtona za pas.

— Gruba sztuka z ciebie — wysapał marynarz, wciągając go do łodzi. — O mało nie przewróciłeś nas. Ale będziesz miał okazję nabrać linii w więzieniu. Zwiążcie mu ręce, chłopcy.

HUGH WALPOLE

## ŚWIĄTECZNE TAJEMNICE

Boże Narodzenie było coraz bliżej i bliżej, — pozostawiało już tylko cztery dni do wigilii. Nie było śniegu, tylko mróz i chłodne, blade niebieskie niebo; mięso było jak owoc kandyzowany; twarde, połyskliwe, o ostro odcinających się kolorach.

Targ trwał przez cały tydzień świąteczny. Była, jak zawsze sara przekupka pod parasolem i człowiek w kożuchu sprzedający drewniane zabawki, i stragany z owocami, gdzie można było dostać jemiołę i osrokrzew. Były, jak od lat, kukielki pod zegarem, był sprzedawca kolorowych baloników i piśków na kółkach, które gdy nakręciło się je z tyłu kluczem, skakały po bruku jak żywe.

Dziewci były głęboko przejęte sprawą prezentów. Mary spoglądała na brata zza okularów tak często i w sposób tak tajemniczy i znaczący, że Jeremy powiedział w końcu:

„No, dość tego Mary. Poznasz mnie już następnym razem.”

„Zas anawiam się”, odpowiedziała z konwulsyjnym skurczem w kręciu, „czy spodoba ci się mój prezent.”

„Spodziewam się, że tak”, rzekł Jeremy zajęty właśnie szczerowaniem swego psa. Hamlecia.

„Bo właśnie”, ciągnęła Mary, „były dwie rzeczy, i nie mogłam się zdecydować która no i pytałam Heleny i ona z początku powiedziała tę jedną rzecz, bo możesz się w każdej chwili zaziębić

W kilka minut pędzili z powrotem po wodzie, ścigani przez Christinę w „Mewie”. Alasdair i Angus patrzyli ubawieni na Volkingtona i Craika leżących na dnie łodzi. Obaj przedstawiali smęny widok: jeden przemoczony do niki, drugi usmarowany smołą.

— Mam nadzieję, że jest panu całkiem „wygodnie”, panie Craik? — spytał uprzejmie Alasdair.

Marynarz spojrzął na zegarek w świetle księżyca. — Jedenasta — mruknął. Zdażymy jeszcze na zabawę sylwestrową.

K. G. CHESTERTON

## BOŻE NARODZENIE W LITERATURZE

**N**AJLEPSZYM przykładem (właściwego człowieka przychożającego o właściwej godzinie) jest Dickens i jego „Noc Wigilijna”. Dziewiętnastowieczne Boże Narodzenie było naprawdę „godziną” Karola Dickensa. Tak jak on był jego „człowiekiem”. Dickens był tu bohaerem pod wieloma względami. Jednak jego szczególną cechą bohatera było o, że przyszedł prawie za późno. Zdażył zaledwie ocalić przed zaledwianiem reszki tłącego popołu z tradycyjnego polana „Fale Log”. Tylko z rudem udało mu się od ego gasnącego już żaru rozpaść nasze nowsze świąteczne pochodnie i to właśnie tłumaczy owo z pasją już graniczące napięcie, którym wibruje Noc Wigilijna i które wybucha jak ogień arylejjski w innej, bardziej bojowej opowieści — „Kuranty”.

Skurcz bowiem, posać niebardzo może żywa literacko był charakterystycznym typem epoki. Naprawdę istniał czas kiedy światopogląd angielski (a był o wtedy świat opogład bardziej arylejjskich odłamów klasy średniej) znajdował się o włos od przyjęcia

filozofii Skurcza, z całą jego bezduszną „przydatnością”, z całą płytką niepozbędną krzątaniną. Ludzie naprawdę mówili wtedy: „niech wymiera, to zmniejszy się przeludnienie”. Zwolennicy Malthusa mówili o tym nawiązką, i co ważniejsze, — nie brali za o po warzy. Teraz kiedy Malthus skończył się intelektualnie, a jego następcy: socjologowie współcześni, boją się barziej spadku zaludnienia, niż jego zby. gwałtownej zwyżki trudno nam zdać sobie sprawę jakim żelaznym i niezachwianym argumentem gospodarczym było zdanie powyższe dla naszych dziadków. „Idioła, który mówi wesołych świąt” był w tych czasach przysłowiowy, a podobne epitet y znajdujemy w poważnych i wpływowych dziełach z czasów Dickensa. Sam Macaulay, — w życiu prywacym człowiek bardzo hojny i dobroczynny, broni jednak chociaż słabo i jakby ślepym szacunkiem postuła u Malthusa że miłosierdzie dla ubogich powinno zostać ograniczone lub

ustać zupełnie. Na tę okropną posawę składało się wiele powodów. Jednym z głównych był fakt, że Liga europejska, dawno już podcięta, dogorywała w owym czasie bez raunku. Nie mniej ważnym czynnikiem był zrozumiały skąd inąd urok, jaki wywierała zawsze na umysł ludzki każdy nowy system przejrzyty i kompletny. Gara indywidualistyczna teoria popytu i podaży wydawała się nie do zbicia, aż dopóki zbijać jej nie zaczęły fakty. Niemalą rolę odegrała wyjątkowo wprost, korzystna pozycja handlowa Anglii w owym czasie, z drugiej zaś strony sale istniejący, konkretny strach przed ewenualnym bunem głodnych mas, co sprawiało, że nawet ludzie z natury nienajgorzsi odnosili się do nich jak do wilków. Rzeczą bowiem, o której zapominać nam nie wolno, lecz o której zapomniamy stale jest to, że dziadkowie nasi żyli w usawicznym oczekiwaniu rewolucji. Rewolucji, która (niesety) nie nadeszła.

Ze wstępu do „Nocy Wigilijnej”  
Dickensa

„Jeremy and Hamlet 1923.”



**W**YSTĘPY gościnne Alicji Markowej i Antoniego Dolina w balecie Sadler's Wells na deskach opery Covent Garden w czerwcu i lipcu 1948 roku przypomniały mieszkańcom Londynu, ile stracili z powodu ich dziewięcioletniego pobytu za granicą. Kariera tych dwojga tancerzy jest wspaniałą serią sukcesów artystycznych, a ich osiągnięcia podniosły balet brytyjski na jego obecny, wysoki poziom. Przyczynili się oni do jego rozwoju w okresie, kiedy na ogół nikt nie wierzył w możliwości odrodzenia tej dziedziny sztuki, ponieważ ostateczny sąd publiczności o sztuce choreograficznej zależy od sukcesu artystów, którzy interpretują główne role, a bez których nawet najciekawszy balet nie może mieć powodzenia.

Markowa i Dolin uczyli się swej sztuki w balecie Diagilewa. Pracowali tam pod krytycznym okiem samego Diagilewa i występowali razem z niektórymi najwybitniejszymi tancerzami rosyjskimi ówczesnych czasów. Odczucie to wywarło na nich bardzo dodatni wpływ. Dzięki zaznajomieniu się z rosyjską techniką, tych dwoje angielskich tancerzy przyswoiło sobie zmysł, smak i styl artystyczny, który później przy nadarzającej się sposobności oboje wykorzystali w pełni.

Dolina zobaczyłem po raz pierwszy w 1921 roku, kiedy występował pod nazwiskiem Patrikief (rosyjska wersja jego prawdziwego imienia i nazwiska Patrick Kaye) w roli jednego z królewskich paziów w sławnym wznowieniu przez Diagilewa baletu „The Sleeping Princess” (Śpiąca królewna) w Alhambra Theatre w Londynie. Był on wówczas 17-letnim chłopcem. W dwa lata później w 1923 r. zobaczyłem po raz pierwszy występ Madame Astafiew i jej anglo-rosyjskiego baletu w Albert Hall. Zachwycony byłem wtedy dwoma młodymi artystami — „Małą Alicją” wtedy dwunastoletnią dziewczynką, która tańczyła trzy numery i Patrikiefem, znanym odtąd jako Anton Dolin, który wystąpił w dwóch tańcach swego własnego układu. Tych dwoje młodych tancerzy wywarło jak najkorzystniejsze wrażenie i zdobyło entuzjastyczne uznanie.

W listopadzie 1923 roku Dolin stał się członkiem baletu Diagilewa, do którego przyłączył się w Monte Carlo, a w styczniu 1925 r. „Mała Alicja”, której nazwisko brzmi Marks, również przystąpiła do tego zespołu i została nazwana przez Diagilewa Alicją Markową. W tym czasie Dolin stał się sławnym dzięki interpretacji tańca „Le Beau Gosse” (Piękny chłopak) w „Le Train Bleu (Niebieski pociąg), satyrycznym balecie Niżyńskiego na temat życia w modnym zdrojowisku francuskim. Była to rola wysportowanego młodzieńca, zabawiającego się na plaży ćwiczeniami akrobatycznymi: skomplikowane skoki, stanie na rękach, mostki itd. wykonywał z taką gracją i pozorną łatwością, że podziwiano go z zapartym oddechem, nie doceniając niebezpieczeństwa, na które się tymi akrobacjami naraża.

W grudniu 1923 roku Lilian Baylis poleciła Ninette de Valois zmontować mały balet **Les Petits Riens**, którego sukces doprowadził do założenia baletu Vic-Wells. Pierwszy wieczór poświęcony całkowicie baletowi miał miejsce 5 maja 1931 roku w teatrze Old Vic, gdzie Anton Dolin dał swój gościnny występ. — Prawie równocześnie z tymi wydarzeniami, założono w 1930 r. Towarzystwo Camargo (Camargo Society), które umożliwiło angielskim choreografom wystawianie ich pomysłów

CYRIL BEAUMONT

## Markowa i Dolin

i dostarczyły funduszy na wznowienie starych baletów *Gizelle* i drugiego aktu *Lac des Cygnes* (Jeziorko Łabędzie). Dolin odtńczył prawie wszystkie główne role.

Pierwszym występem Markowej w zespole Diagilewa była rola Czerwonego Kapturka w balecie „The Sleeping Princess” (Śpiąca królewna), w którym odtńczyła ona *pas de deux*. W 1927 roku kiedy wznowiono *Le Rossignol* Strawińskiego, dano jej rolę słowika. Przyszłość jej wydawała się już zapewnioną, kiedy w dwa lata później umarł Diagilew, zespół jego został rozwiązany a perspektywy zaciemniły się ponownie.

Chociaż Markowa nie zdawała sobie jeszcze wtedy z tego sprawy, miała zostać jedną z czołowych artystek, które odegrały wybitną rolę w ewolucji angielskiego baletu. — Wspomniałem już o początkach baletu Vic-Wells, lecz istniał jeszcze inny potężny czynnik, a mianowicie Ballet Club, który pod kierownictwem Marie Rambert przyczynił się wydatnie do rozwoju angielskiej sztuki choreograficznej.

Kiedy Ballet Club w lutym 1931 roku rozpoczął swój pierwszy sezon, Mm. Rambert zaangażowała Markową na gościnne występy. Markowa współpracowała z nią przez długi okres czasu, odtwarzając główne role w pierwszych baletach Fredericka Ashton. Wystąpiła również w balecie *Bar aux Folies Bergère* układu De Valois i w *Lysistracie* Tudora.

Następnie po kilku latach osobnych występów, Markowa i Dolin spotkali się raz jeszcze na terenie zawodowym, a mianowicie w 1932 roku. De Valois zaangażowała ich do zespołu Vic-Wells jako parę głównych tancerzy. Wystąpili oni tutaj w kilku wznowieniach baletów Fokine'a i w II-gim akcie *Lac des Cygnes*.

Później zaś w 1935 r. opuścili ten zespół, by założyć swój własny, nazwany baletem Markowa-Dolin, który objechał całą Anglię i pokazał sztukę baletową oraz angielskich przedstawicieli nowym widzom, zyskując ich zainteresowanie i poparcie. Zespół występował gdzie się dało — w music hallach i małych, źle wyposażonych teatrzykach, a jego wytrwałej pracy przypisać należy zasługę, że balet stał się wówczas tak bardzo popularną sztuką w W. Brytanii.

Markowa od początku posiadała wszystkie zalety wspaniałej tancerki. Była drobna i miała wysmukłe nogi ręce. Miała długą szyję, piękne nogi i giętkie stopy. Rysy jej były raczej oryginalne niż piękne, twarz miała niezwykle bladą, a wrażenie to podkreślały jeszcze jej duże, ciemne oczy w czarnej oprawie. Współpracując z Vic-Wells osiągnęła ona największe powodzenie w klasycznych rolach: *Gizelli* w balecie *Gizella*, *Odette-Odile* w *Lac des Cygnes* oraz Alicji w balecie układu De Valois „*The Haunted Ballroom*” (Duchy w sali balowej).

Po raz pierwszy od czasów Carloty Grisi w latach 1840. *Gizella* została wystawiona w całości; również nigdy przed tym nie wystawiono w Anglii wszystkich czterech aktów baletu *Lac des Cygnes*. Ponieważ Markowa jest przede wszystkim przedstawicielką baletu klasycznego, te dwie role były jakby stworzone dla niej. Robiła wrażenie istoty nie z tego świata, tak zresztą powinna *Gizella* wyglądać, a „scena obłąkania” wywierała niezapomniane wrażenie. W drugim akcie tańczyła nie tylko lekko jak piórko, lecz zdołała włożyć w swój taniec jakiś subtelny smutek, który technie najwyższą poezją. W *Lac des Cygnes* pokonała ona wspaniale wszystkie techniczne trudności, które zwiększają się z każdym aktem. *Odette* w jej wykonaniu odznaczała się delikatnym liryzmem, doskonale odpowiadającym temu romantycznemu baletowi. Jej gra mimiczna w obu rolach zdobyła wysokie pochwały. — Bez wątpienia były to zadziwiające osiągnięcia jak na tancerkę angielskiego pochodzenia, która — w przeciwieństwie do baletnic rosyjskich — miała mało sposobności oglądania tego rodzaju klasycznych baletów, w których tańczyły największe ówczesne sławy tańcze.

W balecie *The Haunted Ballroom* stworzyła ona niezwykle nastrój niesamowitości przez sposób w jaki weszła i poruszała się po sali nawiedzanej przez duchy. W drugiej scenie była duchem, a żaden duch chyba

nie mógł być bardziej zjawiskowy, bardziej nieuchwytny niż ona.

Przed pojawieniem się Dolina, balet męski zdradzał pewne cechy znicwieciałości i z tego powodu tancerze mieli na ogół coraz mniejsze powodzenie aż do chwili przybycia baletu Diagilewa, który wraz z Niżyńskim zreferował styl tańca męskiego i przywrócił poziom, jaki istniał w czasach Augusta Vestrisa. Dolin stał się wzorcem dla angielskich tancerzy, jako wysportowany, młody mężczyzna, którego prawdziwa siła jest ukryta pod pełnymi wdzięku ruchami. W interpretacjach swych ról wykazał on również wielką wszechstronność.

Dolin był doskonałym Albrechtem w *Gizelli* oraz romantycznym Siegfriedem w *Lac des Cygnes* i nie tylko odtńczył swoje wariacje z urzekającą werwą, lecz był również wspaniałym partnerem w partiach bardziej powolnych. Wydawało się, że nie tyle podnosi tancerkę, ile powstrzymuje ją od lotu, a w scenach mimicznych poruszał się z rycerską gracją w najszlachetniejszym stylu. We współczesnych baletach największy sukces osiągnął jako szatan w balecie *Job* układu de Valois: wyglądał wspaniale i przypominał szatana z „*Raju utraconego*” Miltona, który zgrzeszył pychą, chcąc dorównać samemu Bogu. Kto widział ten balet, nigdy nie zapomni momentu, w którym Dolin, strącony z nieba runął na scenę i stoczył się w dół po symbolicznych schodach.

Zespół Markowa-Dolin przestał istnieć w Birmingham w grudniu r. 1937. Powracając na scenę po blisko roku przerwy, Dolin poleciał do Australii, by przyłączyć się do zespołu Covent Garden Russian Ballet. Wrócił wraz z nim do Londynu w czerwcu 1939 r. Kiedy wybuchła wojna, zespół ten miał się zjechać w Nowym Jorku i Dolin w tym celu opuścił Londyn w październiku. Ponieważ zespół nigdy nie został ponownie zorganizowany, przyjął on zaproszenie amerykańskiego zespołu baletowego Ballet Theatre, który swe pierwsze występy dał w Nowym Yorku w 1940 roku.

Tymczasem Markowa przyłączyła się do zespołu Ballet Russe de Monte Carlo, w którym pozostała aż do 1942 roku, a następnie również wstąpiła do Ballet Theatre. Tutaj para ta nie tylko tańczyła w klasycznych baletach, lecz układała role w wielu nowych kompozycjach baletowych. Na przykład Markowa odtworzyła rolę Julii w balecie *Romeo i Julia* Tudora oraz partię *Zemphiry* w balecie *Aleko* Massine'a, podczas gdy Dolin wystąpił jako Czerwony Diabeł w balecie *Fair at Sorochinsk* (Jarmark w Soroczyńsku) i jako *Aleko* w balecie *Aleko*. Tancerze ci odłączyli się od Ballet Theatre w 1946 r. i zorganizowali swój własny zespół, z którym objechali Stany Zjednoczone, Kanadę a ostatnio kraje Mózr Południowych.

Pod wieloma względami Markowa i Dolin spełniają rolę ambasadorów brytyjskiej sztuki choreograficznej.

Dzięki swej natchnionej sztuce zdobywają coraz to szersze rzesze zwolenników baletu, który daje nie tylko przyjemność, ale otwiera nowe horyzonty przed tymi, którzy tej galezi sztuki jeszcze nie poznali.



Markowa i Dolin w balecie „Gizella”.

# English without Tears

## TWO POEMS

by William Blake

### SONG

Memory, hither come,  
And tune your merry notes:  
And, while upon the wind  
Your music floats,  
I'll pore upon the stream  
Where sighing lovers dream,  
And fish for fancies as they pass  
Within the watery glass.

I'll drink of the clear stream,  
And hear the linnet's song;  
And there I'll lie and dream  
The day along:  
And when night comes, I'll go  
To places fit for woe,  
Walking along the darken'd valley  
With silent Melancholy.

### A POISON TREE

I was angry with my friend:  
I told my wrath, my wrath did end.  
I was angry with my foe:  
I told it not, my wrath did grow.

And I water'd it in fears,  
Night and morning with my tears;  
And I sunned it with smiles,  
And with soft deceitful wiles.

And it grew both day and night,  
Till it bore an apple bright;  
And my foe beheld it shine,  
And he knew that it was mine,

And into my garden stole  
When the night had veild the pole:  
In the morning glad I see  
My foe outstretch'd beneath the tree.

### Uwaga!

#### Konkurs

#### „Anny i dziadka“

Reprodukuje obok rysunek nadesłany przez jednego ze słuchaczy, nadawanych przez B. B. C. lekcji języka angielskiego — przedstawiający rozmowę Anny z Dziadkiem.

W związku z wielkim zainteresowaniem jakim cieszą się te rozmowy, drukowane w naszym piśmie dla czytelników uczących się angielskiego, ogłaszamy konkurs na najlepszy rysunek, przedstawiający Dziadka w rozmowie z Anną, lub najlepszy tekst rozmowy napisany w języku angielskim.

Termin nadsyłania rysunków i tekstów upływa w dniu 15 stycznia. Nagroda za najlepszy rysunek wynosi 5 000 zł, zaś za najlepszy tekst angielski również 5 000 zł.

Wielkość i technika rysunku dowolna, Rozniary tekstu nie powinny przekraczać rozmów lekcji zamieszczanych w „Głosie Anglii“.

SUNDAY: „The Christmas I remember best“: some English By Radio speakers give their recollections of how they have spent Christmas in the past.

MONDAY: (Elementary) Some Questions and Puzzles for „Boxing Day“.

TUESDAY: (Elementary) „On the Bus.“ Conversation drill on a practical theme.

WEDNESDAY: (Elementary) Two poems by William Blake (1757—1827).

THURSDAY: (Advanced) „Brown Family“ conversation.

FRIDAY: (Advanced) „Christmas versus Hogmanay“: a programme about the celebration of Christmas and New Year's Eve in Scotland.

SATURDAY: (Advanced) The History of English: III. The third of a series of talks by Professor Harold Orton of the University of Leeds.

## Lekcja sto osiemdziesiąta

### A VISIT TO THE CIRCUS

MARY: Oh Ann, look at those white horses! Aren't they lovely, with their scarlet plumes!

JOHN: And there are some black ponies over there, too, they've got green and gold harness. I say, Mary, look—there's a clown.

MARY: Where? I can't see him.

JOHN: Over there—oh, he's disappeared. Can we go and look for him, Henry?

HENRY: Well, what do you think, Ann?

ANN: Why yes, I think so: but John, we haven't got very much time to spare, so don't be too long.

MARY: There's the clown, John, he's standing over there by the ponies and those dogs. And just look at that monkey—he's dressed up as a sailor.

JOHN: Oh, come on, Mary.

ANN: Perhaps we'd better go, too, Henry—otherwise we shall lose the children altogether in this crowd!

HENRY: Yes, I think perhaps you're right. What a pity we couldn't get here earlier; there's so much to see.

ANN: It doesn't really matter. The Fun Fair will still be here after the performance, so we can come back then, and see all the side-shows.

HENRY: That's an excellent idea. What's that one over there?

ANN: The notice on it says: „If I fail to guess your age, you will receive a lucky charm“.

HENRY: We must try that one.

ANN: You're as bad as the children, Henry. Oh, where are they? We have lost them.

HENRY: No, there's John, and Mary's just behind. Come on, you two. I think we ought to go to our seats now. We'll come back to the Fun Fair after the show.

JOHN: Oh, that's fine. I want to go on the ghost train and the scenic railway.

MARY: And I'd like to go on the „Dodgems“.

### WIZYTA W CYRKU

MARYSIA: Oh, Anno, spójrz na te białe konie! Czy nie wyglądają pięknie w purpurowych piórach!

JANEK: Jest także kilka czarnych kucyków, ot tam, mają zieloną i złotą uprzęż.

Hej (I say — mówię — jest zwrotem służącym do wzbudzenia czyjejś uwagi) Marysiu, popatrz jest i clown.

MARYSIA: Gdzie? Nie widzę go.

JANEK: Ot tam — oh, znikł. Czy możemy pójść go poszukać Henryku?

HENRYK: Cóż o tym myślisz Anno?

ANNA: Dlaczegożby nie, myślę, że tak, ale Janku, nie mamy zbyt wiele czasu, nie bądźcie więc za długo.

MARYSIA: Oto clown Janku, sto tam koło kucyków i tych psów. Ach, popatrz na tę małpkę, ubrana jest jak marynarz.

JANEK: Oh, chodźże Marysiu.

ANNA: Może powinniśmy pójść również Henryku, w przeciwnym razie pogubimy dzieci w tym tłumie.

HENRYK: Tak, sądzę, że masz może słuszość. Jaka szkoda, że nie mogliśmy przyjść tu wcześniej; jest tyle do oglądania.

ANNA: To nic nie szkodzi. Wesołe miasteczko pozostanie tu jeszcze po przedstawieniu, tak, że możemy tu wtedy wrócić i zobaczyć wszystkie inne atrakcje.

HENRYK: To świetny pomysł. Cóż to tam jest?

ANNA: Napis głosi: „Jeśli nie uda mi się zgadnąć twego wieku, dostaniesz przynoszącą szczęście maskotkę“.

HENRYK: Musimy tego spróbować.

ANNA: Jesteś również dokuczliwy jak dzieci, Henryku, Oh, a gdzie one? Zgubiliśmy je.

HENRYK: Nie, tu jest Janek, a Marysia tuż za nim. Chodźcież wy dwoje. Sądzę, że powinniśmy teraz zająć nasze miejsca. Wróćmy do Wesołego Miasteczka po przedstawieniu.

JANEK: Oh, to doskonale, chcę przejechać się kolejką diabelską (kolejką duchów) i kolejką wysokogórską.

MARYSIA: A ja chciałabym przejechać się na elektrycznym welodromie.

ANN: We'll all come with you,

JOHN: Oh, good. We spoke to the clown, Henry

HENRY: Oh, did you?

MARY: And I gave a lump of sugar to one of the ponies.

HENRY: Now, here are the tickets. I think we go in through that entrance, just over there.

ANN: How nice the programme-sellers look in their columbine costumes.

HENRY: I'll get the programmes, Ann, and I want to buy some chocolates, too. If you'll take these tickets and go on in, I'll follow you in a few moments. I think our seats are in the front row.

ATTENDANT: Tickets, please. Your seats are at the end of that row, Miss, just down there.

ANN: Thank you.

JOHN: Here we are: ten, eleven, twelve and thirteen. And we're right on the ring side. Oh, what a lovely smell of sawdust and horses.

HENRY: Here are the programmes.

JOHN: Oh, good.

ANN: You've been very quick, Henry. Haven't we got marvellous seats?

HENRY: Dad booked them months ago. Have a chocolate, Ann?

ANN: Oh, thanks. Mary? John?

JOHN: I say, isn't that tight rope high up.

ANN: Yes, it is high, and I see they haven't got a net.

JOHN: I want to see the acrobats, and the men on the trapeze—

MARY: And I want to see the horsee, and the performing seals!

HENRY: I think they're going to start in a few seconds. There's the ring-master.

MARY: Which is the ring-master Henry?

HENRY: That tall man over there coming into the ring. He's dressed in scarlet with a black top hat. Look, now he's cracking a long whip.

JOHN: They're starting—here come the horses!

ANNA: Wszyscy pójdziemy z tobą.

JANEK: Oh, dobrze. Rozmawialiśmy z clownem Henryku.

HENRYK: Oh, naprawdę?

MARYSIA: A ja dałam kawałek cukru jednemu z kucyków.

HENRYK: A teraz, tu są bilety. Sądzę, że powinniśmy wejść przez to wejście, właśnie tamtędy.

ANNA: Jak ładnie wyglądają sprzedawczynie programów w swych strojach kolombin.

HENRYK: Kupię programy Anno, i chcę kupić także trochę czekolady. Jeśli weźmiesz te bilety i wejdiesz do środka, przyjdę za tobą za kilka minut. Myślę, że nasze miejsca są w pierwszym rzędzie.

KONTROLER: Bilety, proszę. Miejsca dla pani są na końcu tego rzędu, właśnie tam na dole.

ANNA: Dziękuję.

JANEK: Tu jesteśmy: dziesięć, jedenaście, dwanaście i trzystaście. Jesteśmy właśnie naprzeciw areny. Oh, jak miły zapach trocin i koni.

HENRYK: Oto są programy.

JANEK: Oh, dobrze.

ANNA: Bardzo cię pospieszyles Henryku, Czy nie mamy wspaniałych miejsc?

HENRYK: Tatuś kupił je parę miesięcy temu. Czy chcesz czekolady Anno?

ANNA: Oh, dzięk. Marysiu? Janku?

JANEK: Jak wysoko jest ta gruba lina!

ANNA: Tak. Jest wysoko i jak widzę, nie rozciągnęli siatki.

JANEK: Chcę widzieć akrobatów i ludzi na trapezie...

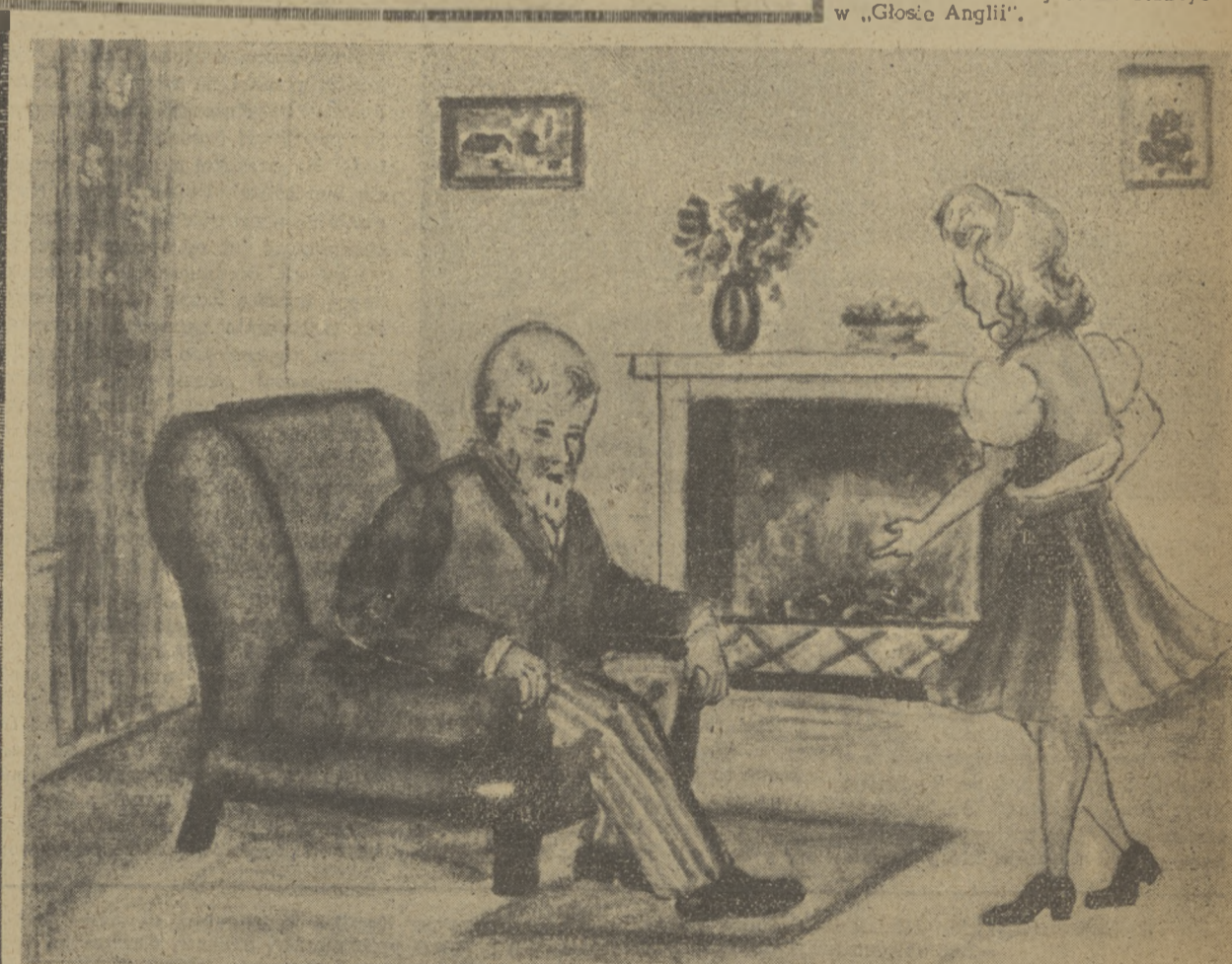
MARYSIA: A ja chcę widzieć konie i tresowane fokki!

HENRYK: Myślę, że zaczną za kilka sekund. Oto jest kierownik areny.

MARYSIA: Który jest kierownik areny, Henryku?

HENRYK: Ten wysoki mężczyzna, wchodzący na arenę. Ma strój szkarłatny i czarny cylinder. Popatrz teraz strzela długim batem.

JANEK: Zaczynają — oto wblegają konie!



## Wielką korzyść przyniesie uczącym się po angielsku **słuchanie lekcji, nadawanych przez radio brytyjskie codziennie w godzinach:**

06.15—06.30 na fali: 267; 41.32; 31.50; 25.30 m.

06.45—07.00 na fali: 1796; 456; 49.59; 41.21 m.

03.45—09.00 na fali: 1796; 456; 267; 49.59; 41.21; 31.50; 31.17; 25.30 m.

12.30—12.45 na fali: 31.50; 30.96; 25.30; 19.61; 19.42 m.

13.30—13.45 na fali: 456 m.

16.45—17.00 na fali: 30.96; 19.61 m.

17.45—18.00 na fali: 267; 41.32; 31.50; 25.30; 19.42 m.

20.30—20.45 na fali: 30.96; 19.61 m.

21.30—21.45 na fali: 30.96; 19.61 m.

22.15—22.30 na fali: 456; 49.59; 40.98; 31.17 m.

Streszczenie wiadomości, dyktowane powoli dla uczących angielskiego:

12.15—12.30 na fali: 31.50; 30.96; 25.30; 19.61; 19.42 m.

13.15—13.30 na fali: 1796; 456; 267 m.

19.00—19.15 na fali: 456 m.

# Duńczycy przegrali w W. Brytanii

**R**EPREZENTACYJNY zespół bokserów „Sparta” z Kopenhagi został dwukrotnie pobity — raz w meczu z Armią Brytyjską, drugi raz w spotkaniu z reprezentacją wojsk imperialnych. Pierwszy mecz odbył się w Royal Albert Hall w Londynie, drugi zaś w gmachu garnizonowym w Aldershot.

Bokserzy Armii Brytyjskiej uzyskali siwe ciężko wywalczone zwycięstwo, wygrywając 5 walk a przegrywając cztery. Reprezentacja wojsk imperialnych pobiła zaś Duńczyków zwyciężając w stosunku 6:3 walk. Doskonałe wypadki w tym międzynarodowym turnieju P. Morrison i C. Tucker u Brytyjczyków, zaś u Duńczyków V. Jorgensen i H. Nielsen. Tucker i Jorgensen wykazali się nadzwyczajną siłą ciosów w swych walkach i tak atakowali swych przeciwników, że werdykty ogłaszające wygrane przez K. O. były nieuniknione. Tucker jest w lotnictwie królewskim i uważany jest od wielu lat za jednego z najlepszych piórkowców W. Brytanii. Doszedł on do finału w czasie brytyjskich amatorskich mistrzostw bokserkich w ubiegłym sezonie. Przegrał wówczas na punkty do Peter Brandera po ciekawej walce. Jego silne ciosy z obu rąk zmusiły Brandera do zmobilizowania całego zapasu umiejętności bokserkich. Tucker (jako reprezentant wojsk imperialnych) spotkał się więc obecnie z Carlem Holmem (Dania), którego już raz pobił w Kopenhadze w czasie ostatniego tournée. Korzystając ze znajomości stylu Holma, Tucker natychmiast rozpoczął atak lewymi i prawymi hakami, wycelowanymi w podbródek Duńczyka. Holm nie potrafił się obronić przed tymi ciosami, nie więc dziwnego, że koniec walki nastąpił w drugiej rundzie, gdy Tucker trafił celnie w żołądek przeciwnika. Cios ten ranił Holma na kolana. Było

mały Duńczyka. Gdyby Tatum był trochę zręczniejszy i posiadał lepszą pracę nóg, Morrison miałby trudniejsze zadanie. Brytyjczyk zbyt szybko pragnął rozstrzygnąć walkę na swą korzyść, a przez to właśnie przeoczył szereg okazji do zadania ciosu i często nie zastanawiał się dobrze, narażając się na kontratak, który mógł mu się dać dobrze we znaki. Mimo tego braku ostrożności Morrison jest doskonałym bokserem — walczy agresywnie i konsekwentnie potrafi zapewnić sobie zwycięstwo. Bez wątpienia walczący w półśredniej bokserzy Jorgensen i Nielsen byli najtwardszymi bombardierami w drużynie „Sparta”. Obaj figurowali na liście zawodników mających walczyć przeciw Armii Bryt. i wojskom imperialnym. Obaj też odnieśli zwycięstwa, dzięki krótkim, celnym ciosom, które wyraźnie zdismoralizowały ich przeciwników. Walka Jorgensena z sierż. Middleditch (Armia) była pokazem jak należy skutecznie bombardować przeciwnika. Duńczyk, krępy blondyn, wyszedłszy w pierwszej rundzie z rogu obdławił Middleditcha tępą senią lewych i prawych haków, że można już było z góry przewidywać szybki koniec walki. Bokser brytyjski w kilka sekund potem przeszedł na deski po ciężkim prawym sierpie, a powstałszy natknął się znowu na krótki prawy hak wycelowany w eżczkę. Poszedł więc ponownie na deski i został wyliczony. W Aldershot Jorgensen wykazał się taką samą siłą pięści w walce z sierżantem D. Smithem (Marynarka Królewska). Bokser „Sparta” spotkał się tu z nieco większym oporem. W końcu drugiej rundy oszaleł jednak swego przeciwnika.

pokazie mistrzostw bokserkich. Mc Leavy nie dorównywał Duńczykowi ani technicznie ani też siłą ciosu. Następnie w Aldershot Nielsen spotkał się z Messervy (Marynarka Królewska), którego zwyciężył na punkty. Była to pewna niespodzianka, biorąc pod uwagę dobrą reputację boksera marynarki oraz jego sukcesy w ostatnich stoczonych walkach. Messervy to nie tylko talent bokserki, gra także w rugby w napadzie i ma w tej dziedzinie pewne doświadczenie dzięki uczestnictwu w meczach marynarki królewskiej. Przewidywano, że stawi on Duńczykowi zacięty opór. Był jednak w czasie walki tak ostrożny i skoncentrował się tak bardzo na obronie, że jego porażka na punkty okazała się zupełnie zasłużoną. Naturalnie taktyka ta była błędna. Messervy okazał się jednak dobrym bokserem. Gdyby spotkał się jeszcze raz z Nielsenem, byłoby może wtedy świadkami bardziej ostrej walki. Duńczyk wygrał pewnie, dzięki swej przedsiębiorczości i różnorodności ciosów. Wyniki techniczne spotkania Armii Brytyjskiej ze Spartą brzmią

Musza — D. Brownning (Armia) pobił E. Neilsa na punkty. Kogucia — P. Morrison zwyciężył E. Fastuma (Sparta). Piórkowa M. O. Sullivan (Armia) pobił C. A. Holma na punkty. Lekka — A. Hansen (Sparta) wygrał na punkty z A. Urchem. Półśrednia — V. Jorgensen (Sparta) znokautował R. Middleditcha w pierwszej rundzie, a J. Lucy (Armia) wypunktował J. Jonssona. Średnia — C. Burn (Armia) zwyciężył na punkty J. Hansena. Półciężka — A. Nielsen (Sparta) pobił w pierwszej rundzie J. Mc Leavy'ego. Ciężka — E. Jensen (Sparta) wypunktował B. Hardinga.

## Z drugiej ligi



Fragment meczu między Spurs i Stoke Bramkarz „Stoke'u” przeskakuje przez nogę Foremana — środkowego napastnika „Spurs”, aby obronić niebezpieczną sytuację, jaka wytworzyła się pod bramką.



Dramatyczny moment meczu między Tottenham Hotspurs, a West Bromwich Albion, rozegranego w White Hart Lane. Tottenham atakuje zwycięście bramkę przeciwnika. Obroncy i bramkarz Bromwich z trudem wyjaśniają sytuację.



M. O'Sullivan (na prawo) blokuje cios swego przeciwnika — Duńczyka Holma w czasie walki w wadze piórkowej.

to na środku ringu. Duńczyk nie miał już widać ochoty do dalszej walki.

Morrison (Armia Brytyjska), który jak się ogólnie przewiduje zdobędzie w bieżącym sezonie tytuł amatorskiego mistrza w wadze koguciej, wygrał wysoko na punkty z Brikiem Tatumem. Zwycięstwo osiągnął dzięki dużej szybkości i ciągłemu używaniu mocnych prawych haków, które oszała-

ka serią ciosów wymierzonych w czoło i twarz. W trzeciej rundzie Duńczyk bez przerwy zasypywał Smitha ciosami z prawej i lewej, tak że ten ostatni musiał cofać się stale wokół ringu. Walkę przerwano ogłaszając wynik na korzyść Jorgensena.

W półciężkiej Hans Nielsen (Sparta) pobił najpierw Mc Leavy'ego (Armia) w pierwszej rundzie po wspaniałym



## Komentarz ligowy

**W**ARTO zapoznać się obecnie z sytuacją w pierwszej lidze angielskiej. Zakończona bowiem 21. kolejka spotkań stanowi równą połowę ogólnej sumy 42 meczów, jakie ma rozegrać każda drużyna. Chociaż Derby County niezmiennie prowadzi w tej walce o mistrzostwo, przewaga tego klubu nad Newcastle United jest bardzo nieznaczna bo zaledwie jednopunktowa (po 21 kolejce Derby County 30 punktów, zaś Newcastle 29). To zagrożenie lidera przez Newcastle stanowi sensację ligową. Przeciż ten ostatni dopiero w tym sezonie gra w pierwszej lidze, a poprzednio przez szereg lat był w drugiej. Derby to niezwykle silna i wszechstronna drużyna. Doznała już jednak porażki na własnym boisku. Zaszczyt zwycięstwa lidera przypadł Portsmouthowi (trzecie miejsce na tabeli). Na czwartej pozycji uplasował się Sunderland. Usilne dążenie Newcastle do przewodzenia w lidze można obserwować już od samego początku rozgrywek. Drużyna uzyskała swą obecną wysoką lokatę dzięki świetnemu technicznie napadowi, odznaczającemu się zarówno zręcznością jak i zdolnościami strzałowymi. Milburn, środkowy napastnik Newcastle, gra już zresztą nie tylko w swej drużynie, lecz także zajmuje tę samą pozycję w reprezentacji Anglii w miejsce słynnego Lawtona, który z roku na rok wchodził do zespołu reprezentacyjnego automatycznie.

Portsmouth, najgroźniejszy rywal dla Derby i Newcastle posiadający po 21 meczach 28 punktów, miał passę szczególnego powodzenia w tym sezonie. Szczęśliwie się składa, że właśnie w roku 1948/49 klub ten obchodzi 50-lecie swego istnienia. Czynnione przez siebie obecnie próby zdobycia tytułu mistrza dla uczczenia rocznicy czynią z Portsmouth jeden z najbardziej popularnych „zespołów przyszłości” w roz-

grywkach ligi seniorów. Jak zacięcie walczą o punkty trzy wyżej wymienione czołowe kluby zilustruje najlepiej krótka przegląd meczów 21. kolejki. Stoke City pobił Derby County w stosunku 4:2. Wynik ustalony został dopiero w czasie dramatycznej końcówki, gdyż Derby prowadził w pierwszej połowie gry. Było to 8 z kolei zwycięstwo Stoke City na własnym boisku. Dzięki temu drużyna ta wywindowała się na 5-tę miejsce tabeli ligowej. Newcastle pobił nisko uplasowany Sheffield United w stosunku 3:2, była to jednak ciężko wywalczona wygrana, a drużynę Newcastle często z pomocą przychodziło szczęście. Oto na przykład zawodnik Sheffieldu wbił piłkę we własną bramkę w momencie, gdy jego drużyna miała wszelkie szanse wygranej. Portsmouth podzielił się punktami z Manchester United (2:2). Gra była prowadzona bardzo żywo z obu stron, również dobrze zdały egzamin obie strony. Manchester w pierwszej połowie miał przewagę jednej bramki nad przeciwnikiem. Jednakowoż dzięki żywiołowym atakom Portsmouthu, który ambitnie pragnął utrzymać swą reputację niepokolego na własnym boisku, szybko padły dwa gole zapewniając gospodarzom przewagę. Na minutę przed końcem gry Manchester wyrównał.

Na szóstym końcu tabeli ligowej — trzy ostatnie kluby stoją już, mimo wczesnego stadium rozgrywek, w obliczu spadku do 2-giej ligi. Są to: Preston Northend, Huddersfield i Aston Villa. Wszystkie trzy są klubami o bogatej tradycji piłkarskiej. Desperacka ich walka o poprawienie pozycji średziona jest z wielką sympatią i zainteresowaniem przez brytyjskie koła sportowe.

Mistrz ligowy ubiegłego sezonu, słynny Arsenal, figuruje na 6-tym miejscu tabeli z 24 punktami po 21

mech. Drużyna zaczęła sezon bardzo udanie, lecz wkrótce okazało się, że szwankuje jej atak. Taktyka szybkiego zmieniania pozycji niejednokrotnie zadziwiała kibiców tej drużyny. Pomocnicy stawali się nagle łącznikami, a Rooke zwykle grający na środku ataku — grał na skrzydle. Eksperymenty te przyniosły jednak mało korzyści Arsenalowi i tylko dzięki dobrej technicznie obronie drużyna uniknęła częstszych porażek. W czasie ostatniego meczu przeciw Charltonowi, Arsenal przypominał już bardziej swymi zagraniami dawną formę tak pod względem gry zespołowej, jak i w dziedzinie indywidualnych zagrań. Do przerwy wynik brzmiał 3:1 dla Charltonu. W drugiej połowie gry zeszlatoroczny mistrz wziął się ostro do roboty. Niestety ostateczny wynik brzmiał 4:3 dla przeciwnika. Zgromadzona na trybunach w rekordowej liczbie 52 tysięcy publiczność długo będzie pamiętała ten ostry pojedynek między dwoma londyńskimi drużynami.

Inny londyński klub, grający w I lidze — Chelsea, choć nie bardzo zaawansowany w punktach (19) zawsze budzi wielkie zainteresowanie swą dobrą grą, zwłaszcza w ataku. Wyróżnia się szczególnie dwóch członków tej drużyny — Bowie — jako prawy łącznik i Bentley na środku napadu. Obaj dobrzy technicy, strzelający ostro na bramkę tworzą razem parę powszechnie uważaną za najniebezpieczniejszych napastników w dzisiejszym piłkarstwie angielskim. Na Bentleya zwrócono już uwagę jako na kandydata do spotkań międzynarodowych. Gracz ten bowiem posiada wszelkie warunki wymagane od kierownika ataku: szybki dribbling i przemyślano podania. Jeżeli utrzyma tę swoją kondycję w przyszłości, nie ominię go zaszczyt reprezentowania Anglii na meczach międzynarodowych.